

MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA

BRATERSTWO
L U D Ó W

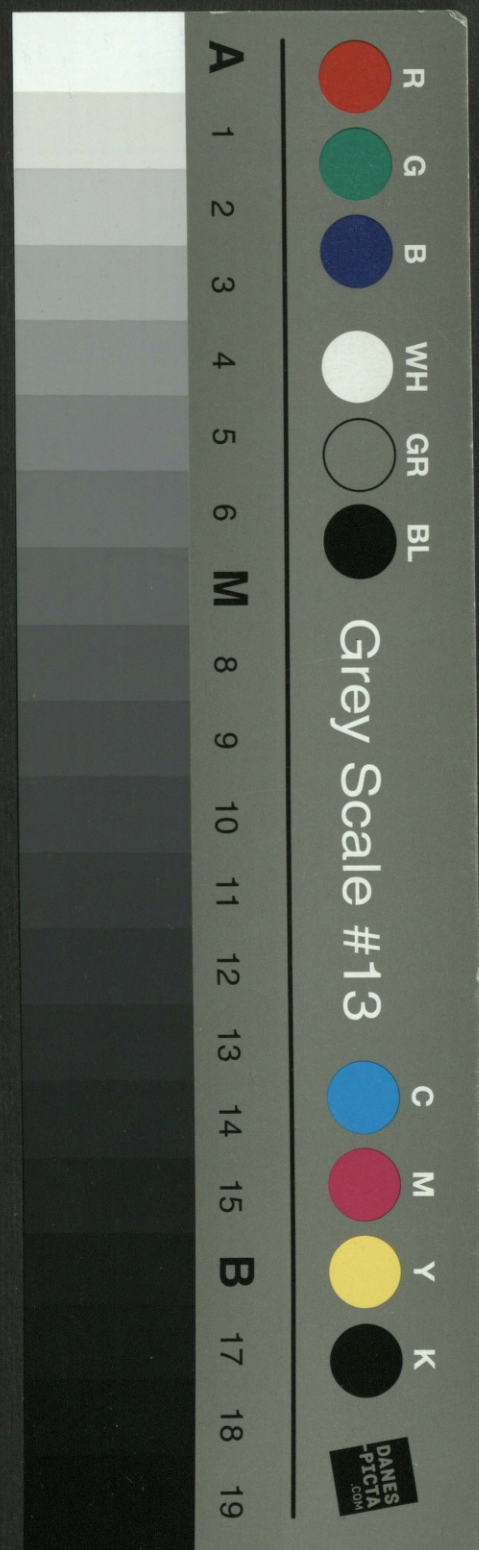
(RZECZ O DZIELE NIEŚWIADOMOŚCI)



WYPOŻYCZALNIA KSIĄZEI
Maria Wanda O...

WYDAWNICTWO „PŁOMIEN” KSIĄŻNICY NAUKOWEJ
W PRZEMYSŁU

SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA Z. WAWRZYNOWICZ — UL. PIĘKNA 1, 16b
SKŁADY KOMIS. WE WSZYSTKICH WIĘKSZYCH MIEJSCOWOŚCIACH POLSKI



MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA

BRATERSTWO L U D Ó W

(RZECZ O DZIELE NIEŚWIADOMOŚCI)



WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
Maria Wanda G...
Gł...
W.S.

WYDAWNICTWO „PŁOMIEŃ” KSIĄŻNICY NAUKOWEJ
W PRZEMYSŁU

SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA Z. WAWRZYNOWICZ — UL. PIĘKNA 1, 16b
SKŁADY KOMIS. WE WSZYSTKICH WIĘKSZYCH MIEJSCOWOŚCIACH POLSKI

Dr. Melserskiemu - 558 8,-
benkij procie - mi lekarni

Olshufy

27.6. 426. iv. Februari

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
Maria Wanda OLSZEWSKA
Gliwice, Kościuszki 3

BRATERSTWO LUDÓW

TEJŻE AUTORKI :

- PANI EL. Cykl nowoczesny. Kraków. Nakładem „Książki“ 1911.
Przedmowa Andrzeja Niemojowskiego. Wyczerpane.
- KRYJAKI. O sześćdziesiątym roku opowieść. Kraków. Nakładem „Książki“. Przedmowa Stefana Żeromskiego. 1913 r.
Nakład I, II i III wyczerpany.
- FAUNESSY. Powieść dzisiejsza. Kraków. Nakładem Księgarni Literackiej. 1913. Ilustr. Wateleta i Krenesa. — Wyczerpane.
- SYNOGARLICE. Nowele. Warszawa-Kraków. Nakładem „Książki“ 1915.
- KONTRYFAŁOWE LICHTARZE U ŚW. AGNIESZKI. Nakładem firmy IGNIS. Warszawa 1922.
- DANINA. Nakładem wydawnictwa „Książek Zajmujących“. Przemysł. Książnica Naukowa 1925 r.

W DRUKU :

- KSIĘGA O PRZYJACIOŁACH (w kolaboracji z Zofją Rygier Nałkowską, ilustr. Niny Aleksandrowicz).

W PRZYGOTOWANIU :

- WE WIELKI WIECZÓR. Pamiętnik z wojny 1914—1920 r.
RUBINOWA OŚ. Powieść.

MARJA - JEHANNE WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(RZECZ O DZIELE NIEŚWIADOMOŚCI)

....Bleus ou noirs, tous aimés, tous beaux,
ouvert á quelque immense aurore
de l' autre coté des tombeaux

(Sully Prudhomme)



Bibliotheca
hon. Com. de
Codziemba-Maleszewski

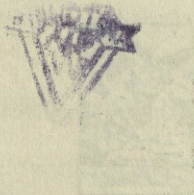
WYDAWNICTWO „PŁOMIEŃ“ KSIĄŻNICY NAUKOWEJ
W PRZEMYSŁU

SKŁAD GŁÓWNY : WARSZAWA Z. WAWRZYNOWICZ — UL. PIĘKNA L. 16b
SKŁADY KOMIS. WE WSZYSTKICH WIĘKSZYCH MIEJSCOWOŚCIACH POLSKI

884-3

Odbito 1000 egzemplarzy na
papierze bezdrzewnym
w drukarni Jana
:: Łazora, ::
Przemysł
1926.

8962/1



WSTĘP

Jest to pieśń o Ojczyźnie, ale ani modna, Kornelowa, ani tem mniej niemodna, Juljuszowa Pieśń.

Rzecz górna w założeniu, arcyskromna w wykonaniu.

Właściwie nawet nie pieśń. Narracja o tem, jak z najkrwawszej formy braterstwa ludów powstała Ojczyzna nasza, jak działała NIEŚWIADOMOŚĆ, bo świadomość z rozmysłem pomijam.

Za wiele pisano już o świadomości.

O świadomości przeszłych pokoleń polskich, tylektrotnie zbrojnie powstających —

o świadomości narodowej współczesnego żołnierza polskiego, walczącego z orzełkiem jagiellońskim na czapce. —

Ja piszę o NIEŚWIADOMOŚCI.

Piszę o tem, czego nie wciągnie Historja świata w swoje rejestra, dlatego też nie kładę niczyjego imienia ani na zewnątrz, ani wewnątrz kart niniejszych.

Heroje pozostaną bez nazwiska.

Że jednak przerzucając księgę dziejów ostatnich, wracała uporczywie myśl ku przeciwległemu

problemowi, mianowicie ku ŚWIADOMOŚCI polskiej narodowej —
ofiarowuję niniejsze pisemko

TEMU MIASTU,

które było świadomości polskiej, najczujniejszej, najbystrzejszej, niestrudzonej: Wykładnikiem żywym, które tą nieusypiającą świadomością narodową — rzecz bywało śmieszną w opinii, rzecz bywało groźną dla pasibrzuchów, rzecz bywało śmiertelną i ludziom niewygodną — niosło przed nasze oczy przykładem zbiorowym, czynem, wyrzutem i zewem naprzemian, aż ją ucieleśniło, aż ją rzuciło płonąca na szalę europejskiej, tępej dyplomacji.

Nie położyło jej dyskretnie i obleśnie, jako chłodną bryłą lodową, lecz w stanie wrzącym.

Nie położyło jako zagadnienie, jako problem, lecz jako fakt.

O Miasto moje! oto jest Twoja *bujność*.

Nie znałeś pióra, gdy chodziło o Ojczyznę, ale miecz. Nie znałeś kompromisu, komplementu i komunału, ale kulomiot. Retoryczność Twoja w tych wypadkach była lapidarna. Tylko podźwięk tej retoryki sypał się później jak kwiaty z kwitnącej czeremchy: pieśnią, muzyką, pieszczotą, legendą, poezją i łkaniem.

Całe jesteś w pieśni, o Miasto moje, a znaki na niebie i ziemi Ciebie znaczą dobitnie.

Gdy miano w Polsce kłaść fundament pod grób Nieznanego Żołnierza — najczystszy, oder-

wany symbol wysiłku bezimiennego — wrzucono 15 kart do urny, opiewających zasługi 15 pobojo-wisk polskich.

Najmłodszy kawaler Virtuti Militari wyciągnął z urny kartkę i wśród głębokiej ciszy, we wielkiem wzruszeniu, obwieścił pan Minister Spraw Wojskowych, że los wybrał... pobojojowisko lwowskie.

O Lwowie! mój Lwowie! Oto jest Twoja *moc*.

Odtąd nie będą już nigdy mówiła, że traf jest ślepy, ani że puste są oczodoły Losu, ani że Przeznaczenie jest owcą błędną.

O Lwowie! mój Lwowie!

Aura Twoja jest silniejszą od wozgrzywności, od podejść wroga, od zgnilizny rodaków.

Nie krwią Żołnierza Znanego, czy Nieznanego, jest nasiąkły Twój bruk, ale tchnieniem Twojem. Wichr Twego bohaterskiego tchnienia, bujnego, młodzieńczego, przewiał nawskróś polskie ugory senne. Unosił się nad wodami bezwładu i obojętności, aż wzburzył gnuśną falę i oderwał od pierzynowego bytowania. Najtęższe bastjony polskiego niedołęstwa runęły, gdy tchnąłeś Ty, Miasto moje.

To też czcząc na placu Saskim w Warszawie zwłoki Nieznanego Żołnierza, czcić będziemy tylko Tchnienie Twoje.

Polska w przeciwieństwie do wszystkich Państw ziemi, nie będzie miała Nieznanego Żołnierza.

O Lwowie, Miasto moje, które nawet ślepy traf wyróżnił!

A oto chcę jeszcze słowo rzec o Twoim wdzięku, Ulico Lwowa.

Jechałam raz z dworca Podzamcze do mia-

sta. Ledwo ujechałam kilka metrów, spadło koło z dorożki, kuferek wyleciał jak z procy i ugrzązł w błocie, a ja starałam się utrzymać pewien związek między godnością osobistą, a ekwilibrystyką, obiektami, jak wiadomo, dość sprzecznymi.

Skinęłam na drugą, przejeżdżającą dorożkę i chciałam jechać dalej.

Pierwszy dorożkarz jednak zatrzymał mnie.

— A co to pani sobie myśli? a gdzie zapłata?

Oburzona tłumaczę, że ujechawszy zaledwie kilka metrów, wytarzawszy kuferek w błocie i sama się ledwo pozbierawszy, nie myślę płacić.

Wokół nas zebrał się odrazu tłum. Typowy tłum lwowski, wesoły, zawadjacki, przyjacielski i apodyktyczny. Fanfara, nie tłum. Dorożkarz zaczął mi wymyślać, także po lwowsku, więc niezbyt dokuczliwie i żądać coraz natarczywiej zapłaty.

Obracam się tedy nagle do tłumy i powiadam:

— Wam daję sprawę do osądzenia. Widzicie jak długo jechałam, jak mnie ten obywatel wysypał. Jeżeli każecie zapłacić jemu, zapłacę.

Oparłam się na parasolce i czekam.

Zaczęło szumieć jak w ulu. Ulica lwowska rozpoczęła sąd. Padały wyrazy niezbyt się nadające do powtórzenia, śmiechy i okrzyki.

Nareszcie występuje z półpowagą młody oberwus i oświadcza krótko:

— Ta niema żadnego gadania, żeby pani płaciła. Wio! jazda!

Dorożkarz spróbował protestować, lecz tłum uczynił tak niedwuznaczny ruch w jego kierunku, że zaciął konie i pojechał, a wtedy z niedźwiedzią

galanterją oberwusy podniosły z błota mój kufer
i zanosły do drugiej dorożki.

Oto wdziek Twój, Ulico lwowska. Oto sprawiedliwa, wesoła rycerskość Twoja.

Dlatego nie tylko spiż jest Twoim znakiem
chemicznym, ale i pieśń, ale poezja i legenda.

Dlatego pisząc o NIEŚWIADOMOŚCI, która
Polskę budowała i zwracając się mimowoli do
przeciwległego problemu, do najwyższej świadomości
narodowej — zwróciłam się ku Tobie i Tobie

L W O W I E,

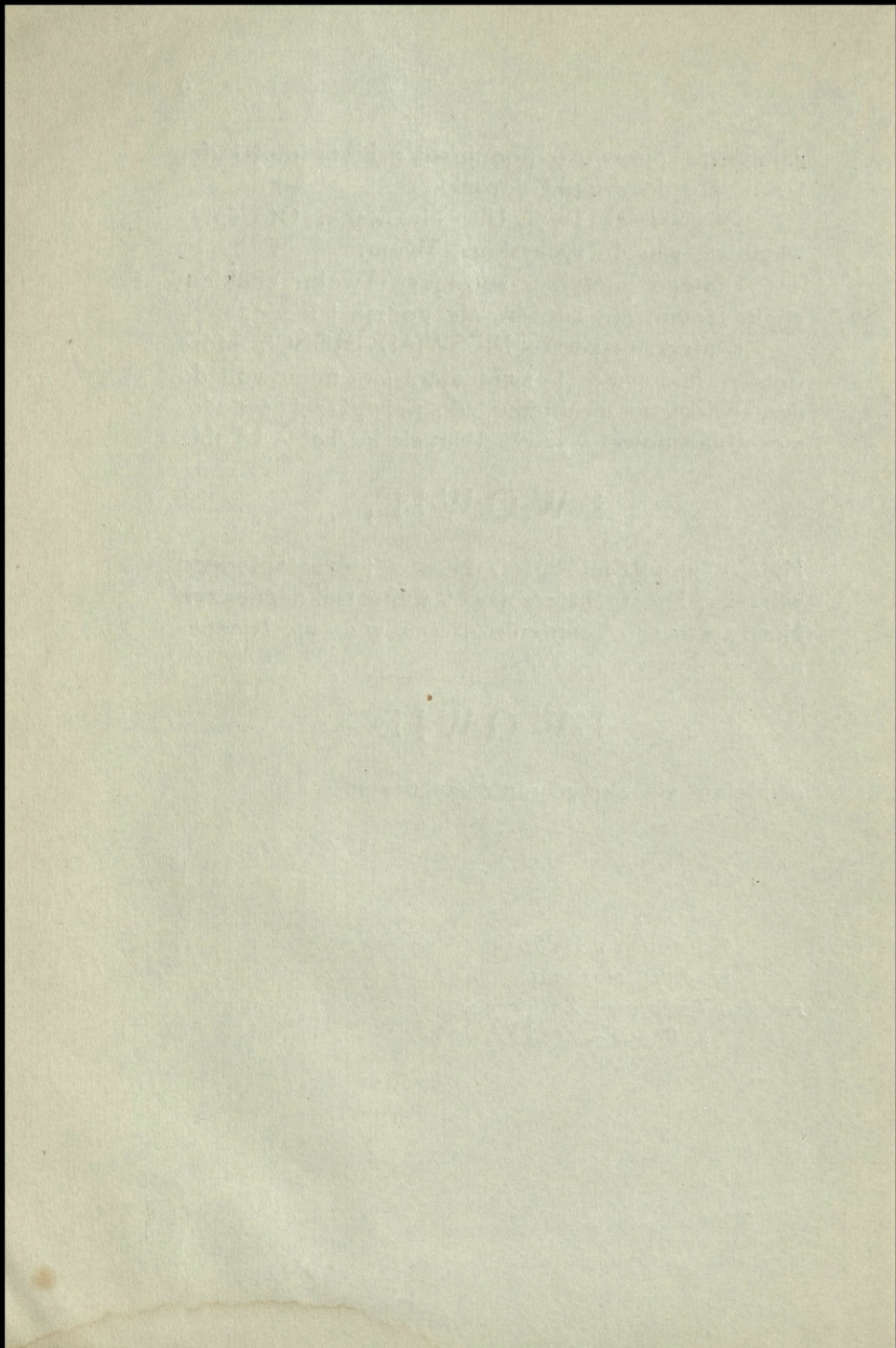
Miasto mojej młodości, Miasto niezastąpionego
wdzięk, Miasto które nawet ślepy traf naznaczył,
Miasto którego Tchnienie czcimy w grobie Nieznanego
Żołnierza — Tobie

L W O W I E

ośmielam się złożyć niniejszą pracę

Autorka

2 listopada 1925
w dniu złożenia
zwłok Nieznanego Żołnierza
w Warszawie



Antyfona

1. *Z ita szczodrobliwości Twojej, wyrósł kwiat podobny słońcu: Ojczyzna moja.*
2. *Jako żniwo Twego rozpasania, wyłuskiwało się ziarno na chleb nasz własny, powszedni, a poprzez powszedniość swoją święty.*
3. *Pod nieczułem niebem, z piany gniewu Twojego wstała Ojczyzna moja. Z drżącym uwielbieniem, w zdławionem kaniibalstwie mojem, kłaniam się tedy Tobie w pas, Wojno, Pani Łaskawa, Pani Szczodrobliwa.*
4. *Życie jednostek przeciekało strugą przez niemiłosierne palce Twoje. Zginęły biljony, tryljony istnień, aby powstała moja Ojczyzna.*
5. *Niech śpią spokojnie w cieniu spełnionego nieświadomie zadania.*

Arztbrief

1. In der vorliegenden Angelegenheit wird durch den Herrn Dr. ...
2. Die ...
3. ...
4. ...
5. ...

6. *Niech śpi spokojnie czarny żołnierz Afryki, trzcina cukrową i mięsem białego karmiony, który padł twarzą w cieniu dopływ Marny, jakby z niej miał pić na wieki. Nie słyszał nawet o mojej Ojczyźnie, a za Nią zginął.*

Z podwiniętymi nogami, gotów do bitwy, której sygnał ma runąć lada sekunda, pisze szybko i koślawo, lichą francuszczyzną, do swoich braci w Senegalu.

Tyle ważnych zleceń!! Losy wielkiej wojny zdają się od nich zależeć!!!!

— „*Niech Mobusso przysłać dużo korzeni lukrecyjnych, bo Kumba N' Diongo widział wypaść wszystkie swoje zęby odkąd nie mieć korzenie lukrecji, Kumba N' Diongo posiadać wogóle tylko dwadzieścia siedem zębów, niech Mobusso nie dawać matce wszystkie pieniądze od N' Dionga, niech Mobusso dać raz pięć franków i inny raz pięć i jeszcze inny raz pięć i potem pięć i niech Mobusso przysłać korzenie lukrecji bo Kumba N' Diongo wypaść reszta zębów....*”

— Te! słuchaj Czekoladowe Cygaro! — przerywa biały towarzysz z szanów. — Wnet się twój taniec rozpocznie. Gotuj nogi!

— Dlaczego być mój taniec, nie twój? — pyta N' Diongo.

— Przecież to taniec ludożerców, miły synu krokodyla...

— Ja nie być syn krokodyla — mówi urażony Senegalczyk — ja być syn Rimbella Falla i ja nie jeść białego mięsa.

— A twój ojciec „jeść“?

— Ojciec jeść.

— No widzisz! i ani przypuszczasz, czarny kalamarzu, o ile on jest nam przez to bliższy od ciebie....

Złowrogi szum wiał przez puste pole, czaiły się wokół duchy niszczące, szemrała śmierć pacierzem smutku i grozy.

Nieswojo było, chłodno.

— Do kogo piszesz? — pyta znowu wścibski biały.

— N' Diongo pisać do przyjaciela.

— Nie do żony? Nie masz żony, ani dzieci?

— Ja!? — oburza się Senegalczyk — N' Diongo bogaty przecież. N' Diongo mieć cztery żony, a wszystkiego sześć dzieci.

— Dużo synów?

— Sześć.

— Jakto? Ani jednej córki?

— Cztery.

— Więc dlaczego mówisz, gorylu, że masz „wszystkiego“ sześcioro dzieci?!

Machnął ręką N' Diongo.

— Córka się nie liczyć.

Grzebią po kieszeniach, wyciągają pomięte bibułki, roztrzęsione papierosy i nawzajem traktują się tem śmieciem i ogniem.

— Dlaczego do żony nie piszesz, jeno do

przyjaciela? — wraca Francuz do pierwotnego tematu.

Zachmurza się N' Diongo, zaciąga dymem i odpowiada niechętnie:

— Ty nikomu nie mówić, ale N' Diongo nie pisać do żony, bo żona niedawno puścić dziecko na ziemię i złamać dziecko.

— Złamać dziecko — — !? — dziwi się Francuz i tłumi śmiech, który wobec ponurej miny Senegalczyka byłby co najmniej nie na miejscu.

— No, ale przecież nie wszystkie cztery żony złamały ci dzieci? — ryzykuje po chwili.

— Tak. Ale, widzisz, tylko jedna *musso*, być dla N' Diona *musso* od serca...

Poprzez komizm murzyńskiego opowiadania napływają mnogie i odległe reminiscencje. Zaspiają się obaj i długą chwilę milcząc, nadsłuchują. Czego? Jakiej symfonji rzeczy bliskich i niezawodnych i rzeczy nieprawdopodobnych już na zawsze? Tak się wszystko obróciło na nice, że to co dotychczas było zwyczajne i codzienne — stało się absurdalną legendą, że nawet wspomnienie przestało być wspomnieniem, a tylko jakby posmakiem majaczeń nierealnych. Natomiast absurdalna legenda stała się chlebem powszednim. Przeżuwają ten chleb, milcząc, wciąż i wciąż.

Lecz cisza drażni ich i nęka, zwłaszcza, że jest nakazana. Gadulstwo białe i czarne zwycięża, to też rozmowę wszczynają z powrotem.

— Ty wiesz, N' Diongo, że dziś pochowali kapitana Flersy? Rany goiły się niby pięknie, a nagle umarł.

— To bardzo dobrze, że on umrzeć.



— Co — —?! — zatknął się Francuz, jakby mu piorun trzasł przed nosem.

— Kapitan Flersy tchórz, więc dobrze że umrzeć.

Francuz odchodzi od przytomności, prawie siny.

— Czyś ty zwarjował, smoło piekielna!? Kto tchórz!? Kapitan Flersy tchórz!?

Senegalczyk coś majstruje koło dogasającego papierosa i przytakuje z monumentalną powagą:

— Tak, kapitan Flersy.

— Żeby nie rozkazy, tobym ci tak skuł tę czarną mordę szympansią... jakto tchórz!? kto!? — dławi się żołnierz w bezradnej wściekłości. — Przecież odbyłeś z nim kampanję w Marokku, gdzieście go czcili jak...

— To i cóż? — pyta murzyn z flegmą. — W Marokku kapitan Flersy być bohater, być wielki wódz, tam iść i bić, a tu? Tu ledwo zobaczyć *nadaki* (Niemców) to stanąć i parpać i kopać ziemię i chować się do dziur. Czy ty słyszeć kiedy, żeby się bohater chować do dziur przed nieprzyjacielem!? Kapitan Flersy tchórz i dobrze zrobić, że umrzeć, choć umrzeć w *igbe*¹⁾.

Z niezmierną godnością spluwa Senegalczyk trzykrotnie, wyrażając tem niezłomność swoich przekonań i absolutną pogardę nieszczęsnemu kapitanowi.

Francuz przestaje zgrzytać zębami i wybucha nagłym śmiechem. Znosi się od śmiechu. N' Diongo

¹⁾ Charakterystyka murzyna wedle dzieł Piotra Daye, Alphonsa Seche, Piotra Bouche etc. *Igbe* znaczy „w pogardzie“.

aczkolwiek tym śmiechem zaskoczony, tłumaczy sobie, że przekonał kompana. Śmieją się więc obaj długo i zgodnie, requiem bowiem ludzkie, miewa rozmaite formy zewnętrzne.

Tymczasem fala ciszy marszczy się, drga — — to drganie stopniuje się znacząco w uszach i sercach i — — — jęczy cichy sygnał.

En avant!!!!

Zrywają się nerwowo.

Kumba N' Diongo biegnie w czerwonym swoim turbanie — — wielkie, kawowe źrenice błyszczą w wywracających się białkach — — okopconą ręką ściska karabin, prześlicznie wyczyszczony, z uwiązaną do rzemyką nikłową membraną od gramofonu.

Na piersiach jego podskakuje miarowo zielona umberka od lampy — — cudny dar od białej musso ze szpitala, która ma włosy koloru kukurydzy, zęby jak ziarnka ryżu, a ręce tak miękkie i ciepłe, jak *acbo*, nagrzane w słońcu. Na innym sznurku ponosowym, wisi kolczyk z koralu, oraz ułamany celulojdowy haczyk do bucików i mosiężna profitka. To wszystko tańczy teraz i podskakuje na jego zadyszanej piersi, coraz żwawiej i rytmiczniej. — Kumba N' Diongo przypada do ziemi, kiedy przypadają inni, czyni to jednak z nieukrywaną odrazą, choć karabiny maszynowe koszą i sieką w pień.

Z nim razem przypada także nikłowa membrana od gramofonu, zielona umberka od lampy, kolczyk z koralu i mosiężna profitka, wraz z celulojdowym haczykiem od bucików. N' Diongo dołącza starań, aby nie pognieść tych bezcennych sprzętów i ta obawa o skarby przyczynia się za-

pewne w znacznej mierze do straszliwej odrazy, z jaką wypełnia rozkaz: padnij! Działa tu oczywiście i honor rycerski, senegalski, nie zezwalający na krycie się przed wrogiem. Wogóle ta cała wojna europejska, z hańbiącym sztafżem szafców, podkopów, pełzań, równa się ustawicznemu policzkowaniu dla negra, wychowanego w innych zgoła zasadach taktyki i etyki militarnej. Jakże tam pięknie w jego kraju się wrzeszczy, jakże się wali w bębny, w kastaniety, w piszczele pomordowanych, obcych wodzów! niech widzą wrogi odwieczne, że ich się nikt nie boi — — ale cóż robić!?

Biegnie więc i pada, biegnie i pada. Przed nim o dwieście kroków płynie zafraszowana rzeczka, błękitna jak oczy białej musso ze szpitala. — Niebo przegląda się w białej rzeczce ciekawie i tyle jest w niej niebieskości firmamentu, że aż płytki brzeg wydaje się chwilami niebieski. N' Diongo przypada znowu i biegnie, ale przed samą modrością rzeczki, którą inni biorą lekko wpływ, zadziwia się bez wyraźnej przyczyny, staje, wznosi okopcone ręce w za krótkich rękawach i nie zginając wcale kolan, pada twarzą do rzeczki.

Plusnęło zwyczajnie.

Czy człowiek pada w nią, czy kamień, woda pluszcze jednak.

Zatoczyła krąg świetlisty, perlisty, srebrzysty i jąta prędko, prędko, jak dobra gospodyni zmywać twarz N' Dionga, zdziwiona pewnie, że twarz ta jest tak czarna pod francuskim niebem. Wiotka wstęga wody przytem szarpała go łagodnie i zapobiegliwie:

— — — Wstawaj bratku! drudzy poszli już...

Cóż z tego, że drudzy poszli?

Kumba N' Diongo pił wodę i pił i nie przestawał pić.

Dookoła jego głowy ledwo zanurzonej, wypłynął cieniutki nimb ponsowy na drobną falę. Może to sznurek, na którym uwieszona była umberka od lampy, haczyk celulojdowy i profitka mosiężna — a może krew?

Na wojnie wszystko możliwe, a on przecież nie słyszał szyderczego wołania: „*Chwała wam, Kabyłe z Riffu, którzy zwalczacie Europę!!!*“¹⁾

Nie słyszał nigdy podobnych słów.

Więc pij truciznę śmierci, czarny żołnierzu Afryki, pij na zdrowie mojej Ojczyzny! Nie słyszałeś nawet o Niej, a dla Niej giniesz w cichym plusku wody i jeszcze cichszym pobrzęku dziecinnych amuletów.

¹⁾ Michał Maresz : OAZA.

7. *Niech śpi spokojnie zadumany Hindus,
który legł pod gruzami gotyckiej świą-
tyni nad Piawą, obcy jej bogom, obok
napuszonego angielszczyka.*

*Obaj śmiali się zapewne na opaczny
dźwięk imienia mojej Ojczyzny, a obaj
dla Niej zginęli.*

Wprost na niego, z za węgła rozstrzelanego, prześlicznego kościoła Santa Agnese, w mise en scene niepospolitej, bajkowej, wyszło na niego stworzenie najpospolitsze : krowa.

Była jasnosiwa, gładka, jak pobielany bronz, ze smukłą, wysoką lirą złotawych rogów między uszami.

Bardzo delikatna, miała wymię pełne i bogate, a źrenice łagodne, nierozważne i smutne.

Hindus zmrzył oczy, wzruszony. Z obcości, z ciemności, otworzono mu nagle okno na olśniewający skrawek jego świata. Wszystkim borbom europejskim obcego świata, zadumanego od wieków i po wieki, świata „uczuć wklęsłych“, idącego w głąb i wzwyż, a nigdy naprzód. Świata stojącego... Nosił on ten świat w sobie po wszystkich poniewierkach frontu i okopów, dlatego lada drobiazg poruszał go i wzniecał w nim pożogę cza-

rownych mirażów. Mirażami temi żył bardziej niż komiśnym chlebem.

Teraz naprzeciw złotawej liry i łagodnych, nierozważnych, smutnych źrenic, podparł głowę obu dłońmi, złożonemi na karabinie i słuchał. — Umiał słuchać rzeczy najdalszych, poprzez wrzawę rzeczy bliskich. Doprawdy słuchał niedosięgalnych pozornie głosów swego kraju.

Coraz to nowy apostoł głosi tam słowa nie nowe, nietykane zgrzebłem przewrotów. Coraz to inny głos bezbarwny, zdławiony, schorzały, panuje tam nad tysiącami mil kwadratowych. Na rozkaz szeptany prawie, trzysta milionów luda rozpoczyna tam post — — trzysta milionów luda zaczyna prząść jak w śnie lunatycznym na kołowrotku — — trzysta milionów luda zdziera ze siebie europejskie szaty i obleka krajową tkaninę — — — a przez miasta i dżungle płynie jedno imię, teraz to, ponad wszystkie słowo piękniejsze :

— Ghandi! Ghandi! który skromnie twierdzisz, że nie masz specjalnych poruczeń od Boga, że jesteś takim wysłannikiem, jakim każdy z nas być może.... Wobec dziwów Europy, wobec oszałamiającej jej kultury, młody apostoł powiada łagodnie: cywilizacja europejska? To tylko natura tygrysa, bez tygrysa....

Kiedy wiara upada, kiedy wzmaga się Zło, wtedy się objawiam, ja, Kriszma, w najkruchszej nawet formie. Dla wzbogacenia Dobra, dla zniszczenia Zła, dla utrwalenia Dharma, odradzam się jeszcze i wciąż... dlatego (dodaje Ghandi) nie widzę Chrystusa samotnego na tronie.

Hindus rzuca wzrok nieufny w stronę zniszczonej świątyni, która leży prawie tuż przy szajcach, poza miasteczkiem. Przez wystrzelane witraże Santa Agnese, przez obalone koronkowe portyki, nie patrzy żadne bóstwo, jeno żałość i pustka.

Ludzie wnieśli bóstwa i ludzie wynieśli.

Teraz tylko jaskółki i wróble wiecują strwożone na szczybatych gzymsach wnętrza. Łuk jeden tuż nad wejściem, naderwał się i zatrzymał w upadku, tak, że tworzy figurę na wspak gotyckiemu łukowi, figurę skreconą ku dołowi: wyraźnie dwie szczupłe ręce, załamane desperacko. O kilka kroków na prawo, leży w gruzach jakaś fabryka: wiją się wstrętne węże stalowe, koła żelazne, konwulsje rur, drągów, szprych, leji, zdewastowany wysiłek ludzki. Z tajoną radością obserwuje to Hindus.

— Jakżeś mądrze nakazał człowiekowi, o Ghandi! aby się odmaszynowił! Jakżeś czarującą wznowił pieśń o kołowrotku!

Dwoje łagodnych, smutnych, nierozważnych oczu patrzy wciąż w niego z pod złotawej liry rogów, tuż przy oberwanym krucyfiksie z marmuru. Także o tem stworzeniu hojnym i łaskawem, zapomnieć chciano w jego kraju. — Ghandi stanął z gwałtownością niesłychaną w obronie tradycji, którą nazwali szaleńcy bałwochwalczą. Mlekodajne stworzenie powróciło do swoich praw, „wynosi nas ono przecież poza kres naszego gatunku, albowiem identyfikuje nas ze wszystkim co żyje — znakiem braterstwa jest człowieka ze zwierzęciem“....

Pług wojny orze wściekle nieboskłony, a Hindusowi przypominają się słowa Mahatmy: *wszystko cokolwiek żyje, jest twoim bliźnim człowieku...*

Trzeba ratować bliźniego.

Morze ognia zasypuje właśnie szańce z furją zdwojoną, lecz Hindus podnosi się żwawo. Słyszy wprawdzie rozkazy i wołanie za sobą, lecz nie słuca. Idzie wolno ku łagodnym, nierozważnym, smutnym oczom, aby ich nie spłoszyć i zrywa po drodze garść podeptanej trawy.

— Masz! — mówi poważnie i tkliwie, podsuwając wilgotnemu pyskowi pęk zielska, poczem skwapliwie odgania zwierzę z niebezpiecznego punktu.

Choć rzecz jest zwyczajna i prosta w zasadzie, czyni to jakoś niezwyczajnie, jakoś obrzędowo, jakoś królewsko. Czynił to niewątpliwie tak samo za dynastji Kashanów, w świątyniach Maghady, składając ofiary Śladowi Stopy, czy Kołu Wiecznemu, czy świętemu bykowi w Tanjore.

I zaraz potem następuje koniec świata.

Z trzaskiem wali się ostatnia ściana boczna Santa Agnese — — słup dymu, rumowisk, czapek, karabinów, menażek, ognia, strzela ku niebu. Hindus nie wyrzekłszy słowa, rozkłada ręce jak Shiwa, tańczący na pięciogłowym wężu i pada na wznak pod gruzami kościoła. — Po chwili częściowego ocknienia, czuje, iż padając, chwycił coś ręką, lekko zatem podnosi piękną, krwawą głowę i widzi, że trzyma w dłoni dłoń angielskiego oficera.

Delikatnie, acz z nadludzkim wysiłkiem, wysuwa swoje palce z niepożądanego uścisku i składa

je na piersi. Znowu jakoś niezwyczajnie, znowu jakoś obrzędowo, wiernie jakiemuś zwyczajowi. Oczy jak noc widzą jeszcze dokładnie, że złotawa lira uszła śmierci ku bezpiecznemu schronisku i tak utkwione w ów punkt nieruchomieją zwolna, po wsze czasy.

8. *Niech śpi spokojnie żydek, wygnany
siłą z intendentury na karpacki front.
Cyganił i skubał moją Ojczyznę ile się
tylko dało, a dla niej zginął, wpatrzony
martwiejącym okiem w granatowy szczyt.*

Każda żyłka trzęsła się w żydku. — Mrówki urządziły namiętne kawalkady na jego chudych plecach i dalej, dalej, aż do odmrożonych pięt. Olympjady triumfalne organizowały wszy.

Drzał, siniał, mrugał powiekami, cmokał nerwowo, trzepał palcami, odwracał się, kręcił wkółko.

Kiedy lunął pierwszy granat o dwa kroki, zgłupiał. Zamieniony w słup, stał i patrzył jak na zgoła niewinny, acz hałaśliwy stragan Lejby pośród delatyńskiego rynku. Natomiast, kiedy innym razem zerwała się wrona z gałęzi, zaczął umykać co sił przed siebie, zgubił czapkę, zgubił tornister, zgubił karabin.

— Icek! czy ty się więcej boisz wrony od granatu!?

— Dlaczego więc? Dlaczego ja nie poczebuję się więc bać w sercu, niżli w nogach?!

Zazwyczaj odpowiadał przysłowiami, których zapas miał nieograniczony. Kiedy naprzykład pra-

wiono wokół, że udał się atak taki a taki, żydek robił kwaśną uwagę:

— Co z tego, że głupstwo się uda? I tak będzie to głupstwo.

Kiedy go „pan Zugsführer“ besztął od ostatnich parchów, odchodził żydek milcząc, lecz potem wygłaszał w nieskończoność płaczkliwie-mądre parabole:

— Spadnie kamień na garnek: źle z garnkiem. Spadnie garnek na kamień: także źle z garnkiem. Na każdy sposób zawsze źle z garnkiem. Ot bida! Ale — dodawał po chwili z innej beczki, melancholijnie — dwie nadzieje poczebujecie mieć bidny człowiek, der arme Mensch. Albo, że stanie się tak bogaty, jak jego somsiad, albo że jego somsiad stanie się tak bidny jak un.

— Icek, czy twoja żona ładna?

— Ładna? Nie, ona jest brzydka — odpowiadał z całym przekonaniem.

— Pocóż się żenił z brzydką, ty, taki śliczny chłopiec!?

— Lepsza brzydka dla siebie, jak ładna dla drugich.

— Ty jesteś, cybuchu, zanadto mądry!

— A cóż mi z mojej mądrości, kiedy un należy do głupich?

— Kto „un“? Brusilów? czy królowa rumuńska?

— Szwiat.

Mimo uporczywego, chronicznego przerażenia, mimo przemęczenia fizycznego, mimo głodu, odmrożonych nóg i zaziębień, nie zapomniał żydek ani na chwilę o handlu. O ile tylko mógł, zbaczał z drogi, wyprzedzał kompanję przy wkraczaniu do

jakiej miejscowości nowej, leśniczówki, karczmy i zakupywał tysiączne przedmioty, które potem z odpowiednim, a raczej z nieodpowiednim zyskiem odsprzedawał kolegom. Pojąć wprost się nie dało, jakim cudem funkcjonowały te ośrodki kalkulacyjne w nędznym, roztrzęsionym, półprzytomnym mózgu żydka. Był to chyba jakiś akt zupełnie podświadomy, działanie utajonego jestestwa, niezdzławionego niczem poza zdewastowaną do cna sferą wewnętrzną.

Tytoń w tych tranzakcjach odgrywał rolę oczywiście pryncypalną. Żołnierze kupowali na wagę złota kapuściane liście, dostarczane przez żydka z niezbadanych czeluści jego płaszcza i tornistra, ale też mścili się potem okrutnie, zwierzęco, z pasją niestygnącą. Wszystka złość rasy odmiennej, odmiennej kultury i interesów, nie wybuchała może dorywczo w owym okresie prawie że równości ludów, a w każdym razie silnego koleżeństwa, lecz trawiła szeregi polskie, madiarskie, czeskie, austriackie stałe w stosunku do nieszczęsnego żydka.

Nie bali się oni może mniej śmierci od niego i tej męki wokół wietrzącej, ale mieli zdecydowany przedewszystkiem lęk śmieszności i dziecińne wprost poczucie miłości własnej. Udawali obojętnych, zblazowanych, lub odważnych i fanfaronujących, udawali nieraz mozolnie, w myśl cichego, tajnego układu, obowiązującego na wszystkich frontach.

Odruchowo wprost przeciwstawiali gigantyczności dziejowych wypadków, tę forsowną izolację od małości, od śmieszności — szalbierstwo dziwaczne i ciężkie — a oto żydek był śmiesznym

w każdym calu, wciąż, błazeńsko śmiesznym, prowokująco. Obnażał swój błady strach plugawo i to właśnie napełniało serca towarzyszy odrazą i złością do niego, choć niby wszyscy razem i każdy z osobna bawili się ochoczo jego bezwstydną pokracznością.

I tak wśród tej nienawiści, wśród tego pośmiewiska, docinków, przezwisk, poszturkiwań, szedł żydek ku swemu nieubłaganemu przeznaczeniu.

Bili się już trzeci dzień w ogniu szaleńczym, w śniegu po pas. Chmury były nad nimi na wysokość ramienia, spowijały ich, spadały na ich głowy jak orły, jak sępy, jak mokre płachty, jak mroźne całuny, żałobniejsze od najżałobniejszych. Las był pod nimi, miljonpienny, kolumnami z czerwonej miedzi i zielonawego alabastru ich odcinający od kraju, od rodziny, od życia, od rzeczywistości — raz na zawsze, granicznikiem nieprzekraczalnym.

Za sobą, na prawo, mieli pusty, siedem metrów wysoki krzyż, na którego jodłowem ciele żłobiły się krwią żywicy osoplone, patetyczne litery:

*Legjony polskie dźwignęły ten krzyż,
przechodząc góry, doliny, wały
dla Ciebie, Polsko i dla Twej chwały....*

Na lewo przed nimi wznosił się inny monument grozy, epos gniewu bożego, niewiarygodny romantyzm śmierci i niebytu, zawarty w jednym złomie, w jednej bryle, w jednej kopule lucyferowego cerkwiszcza: Howerla, szczyt Karpat wschodnich najwyższy, tak dalece ciemnoszafirowy, że

nawet zabarwiający mgłę na szafirowo, na bledszy nieco, niklejszy odcień szafiru.

Welon ten spowijał szczyt Howerli, rozdzierał się i opadał gwałtownie, jak z ramion romantycznej karjatydy, skręcał się w turban, pisał na nim znaki kabalistyczne: sygnały wiekuistej potęgi, zagłady i niedocieczenia.

Nareszcie ruszyły kompanje do ataku, ale bez żydka.

Żydek został.

Choć miał oderwany cały bok wraz z ramieniem, tak, że obnażone płuca dymiły na mrozie, krzyknął dwukrotnie za odchodzącymi:

— Ty!... *hörst du*... Laskowski! a pamiętaj, żeś mi winien jeszcze czi korony i dwanaści halerzów... Las...kow...ski!!!!

Odpowiedziało milczenie, a raczej daleki trzask łamanych gałęzi i zsuwających się po lodzie, okutych, śpiesznych stóp.

Teraz na nagiej, szklistej skale lodowej, jak ćma przygwożdżona szpilką umierał, z rozpaczą obłąkaną, z przerażeniem nie mającem nazwy, ze szlochom rozsadzającym żebra. Płuca jego dymiły na mrozie, jak odkryty trybularz w obliczu Arki świętej. Na śniegu złościły się i igrały rozprysnięte zapasy tytoniu, pudełka zapalek, kolorowe bibułki, cały kramik wędrowny i bezcenny, obrócony w niewecz.

— Kompanja znikła już ku niżowi. Ani się obejrzała na jego krzyk.

W dole miał linję lasu, która go już istotnie odcinała od życia, nad sobą roztarganą turbinę chmur, tuż posępny cień krzyża, a daleko, —

bardzo daleko: samotny i feudalny szczyt Howerli.

W miarę jak typowe, kaprawe, chytre oczy żydka zachodziły blachmanem, siła nieznana oczyszczała je ze wszystkich naleciałości instynktów i rasy.

Uduchowiały się, rozłsniewały. Odwracała się soczewka źrenic, zapatrzona dotąd jeno w obrazy życia i jego potrzeb codziennych.

Błąkające się, zżarte niepokojem i męką oczy, wbił w granatowy szczyt góry i wydał mu się on raptem rzeczą znajomą, widzianą, czy czytaną: świętą, ojczystą górą Ararat.

Tęsknił do tej góry, do tych krain ojcowskich, swego czasu raczej teoretycznie, po chajderach, on i jego współwyznawcy. Tęsknota ta stawała się o tyle realną dawniej, o ile wymienianą bywała na jakąś międzynarodową, utylitarną monetę jątrzeń. Pozatem, teoria mglista, obrzędowa, sucha i bezdźwięczna, była sprzętem nigdy niewynoszonym poza bramy synagogi.

Teraz wybuchła tęsknota żywa i wizja tej obcej góry, tego nijakiego geograficznego punktu, stawała mu się nadspodziewanie wizją kojącą, faktem do głębi realnym i najśłodszy.

Działy się te przemiany oczywiście z zawrotną szybkością.

Czasu nie było.

Wokół niego — teraz spostrzegł dopiero — umierali inni żołnierze.

Spojrzał na nich bez nienawiści już, spojrzał na rozsypaną machorkę bez żalu, westchnął głę-

boko bez strachu i zamknął oczy wraz z najdroższym sercu obrazem.

Śpij, żydku, zabłąkany w karpackie przełęczce.

Cygańleś, skubałeś moją Ojczyznę ile się dało, a jednak umarłeś dla Niej, nie myśląc.

9. *Niech śpi opasły Prusak, który Ojczy-
zną swoją znał i nienawidził, a dla Niej
zginął, z ręką na puszcze marmelady.*

*„Ja, liebes, süßes Lieschen, bald wird Ende. —
Alles umsonst, der ganze Krieg umsonst, denn ich
bin gesund und denke immer an Dich, mein Schatz
und guten Magen habe ich auch, obwohl dass ein
verfluchtes Land, dieses Polenland.... Danke, mein
Herz, für die allerschmackhafteste Marmeladenbüchse...“*

„Tak droga, słodka Lieschen! Wnet będzie
koniec. — Wszystko i tak na nic, cała wojna
na nic, bo ja jestem zdrow i myślę o Tobie. Żo-
łądek mam też w porządku, choć to przekłety
kraj, ten polski kraj. Dzięki Ci, serce, za najsmac-
czniejszą puszkę marmelady....“

Sądził opasły Fritz, że wojna to tylko brzyd-
kie sprzysiężenie przeciw niemu, przeciw jego bi-
cepsom, jego żołądkowi i jego miłości do Lieschen.

Nie wytłumaczy mu nikt, że wojna miała inny
sens.

Wedle jego mniemania, zagadnienia wojny nie
mogły sięgać poza jego osobę, poza jego bicepsy,
jego żołądek i poza miłość do Lieschen. Przecież
to jedno tylko bliskie i realne może mu wojna
odebrać....

Vaterland — —!?

No właśnie.

Vaterland to on, Fritz, to jego bicepsy, jego żołądek, jego Lieschen i także, ewentualnie, jego nienawiść do przekłętego kraju polskiego, w którym mu każą kopać szańce.

Vaterland to także — niema dwóch zdań — puszka marmelady, ta od Lieschen i ta gorsza z menaży. Takie identyfikowanie przyczyn, skutków, wypadków, zjawisk z własną osobą, wytwarza najlepszego może żołnierza, co prawda na krótką metę.

I właśnie dlatego, że *Vaterland* to on, jego bicepsy, jego żołądek i jego Lieschen — wyróżną weń kula karabinowa, toczona i ulana przez innego Fritza, cichutka, gładka, w biały dzień, w ślicznym, jasnym słońcu pogodnym, na zielonym aksamicie murawy, aby rudą głowę położył, nie wiedząc, za moją Ojczyznę.

10. *Niech śpi spokojnie Kałmuk, o nosie podobnym do tratwy, który szedł z głębi Azji dom mój plondrować, a zginął dla mojej Ojczyzny.*

Dziobata twarz żołdaka stała się jeszcze bardziej płaską. Nos, rozsmarowany na całą prawie szerokość tej twarzy, skurczył się w obleśnym uśmiechu, zęby łyskały w sinych wargach, a ręce wypuszczały bezświadomie, w strachu okrutnym, porabowane lichtarze, sztucce, figurki i zegarki. Na guziku wisiał damski, fałszywy kok z szyldkretowym grzebieniem i budzik, zaś po szynelu spływała brunatna zawartość jakiejś kryształowej flaszki.

Pachło silnie miętą.

Daleko i jakby w zaświatach śpiewał wysoki, tkliwy tenor:

Sławnoje morje, świaszczonnyj Bajkał...

Księżyc zalewał wszystko i ów głos i te obrazy swoim blaskiem łagodnym, zieleńszym od szmaragdów, różowawszym od kwiecia jabłoni — przejrzystym, subtelnym, rozkosznym, prawie aż pomadkowym w słodyczy i kolorze.

Nic nie mogło się wydawać groźnem w takim anielskim, najśłodszej oświetleniu. Wszystko było

poezją, uśmiechem, żartem, zalotnością, zabawą. To też uśmiechały się skośne oczy kałmuka i nos się uśmiechał, rozsmarowany na całą szerokość jego twarzy, a oficer stojący przed nim, z czarną lufą rewolweru, skierowaną wprost między oczy skośne — żartował niezawodnie, choć powtarzał w kółko, przez zęby :

— K' czortu, mordo azjatycka... Ja tiebia sukinsyn, mordo azjatycka...

Palec wskazujący leciutko się zgiął na cynglu. Rozległ się trzask suchy i miły, jakby się ułamała wiosenna gałąź bzu, jakby klasnął język rozsmarowany o podniebienie, jakby strzelił bat na dożynkach — cóż mogło dziać się innego w tem anielskiem, feerycznem oświetleniu, jeśli nie śmiech jeno i żart — — ?

Że ktoś zacharczał?

Ty!?

Chyba imaginacja!

Może być zresztą. No, to śpij spokojnie, Azjato, któryś przyszedł z głębi tungrów dom mój plondrować a zginąłeś dla mojej Ojczyzny.

11. *Niechaj śpi spokojnie piegowata dziewczyna, powieszona bez sądu we Flandrii, w dzień biały i dżdżysty, za wiadomo jaką zdradę.*

Mojej Ojczyzny nie zdradziła.

Panna Godeliwa Nys nie była przerażona.
Oczywiście.

Raczej zdziwiona.

Tak szybko się to stało. Poszwargotały wokół niej pikelhauby, popytały, pogroziły komicznie:

— *Sze fu komant te tu tirrrr....* na co milczała i ot teraz prowadzi ją czterech z najeżonemi bagnetami.

Trochę tylko deranżowało pannę Godeliwę Nys, że ręce miała związane na plecach postronkiem — o! bardzo delikatnie zresztą!! — ale muchy wciąż siadały uprzykrzone na jej ni ładną, ni brzydką buzię, jakby brały jej piegi za krople miodu.

Braciszek najmłodszy tyle razy wodził lepkiem paluszkami po tych jej piegach i pytał:

— *Dis, zécoutes... quic t'a barbouillé le visage zavec du miel?*

Roześmiała się mimowoli panna Godeliwa Nys na to wspomnienie, burknęły coś pikelhauby. Wspo-

mnienia przyszły inne, równie zabawne. Naprzykład ta piosenka, śpiewana bezustannie na początku wojny po całej Belgji:

*...Il devait faire prisonnier
dans Bruxelles même Albert premier
et voilà que son fils
n'a pris que l' Mannekenpiss !...
Chantons la Kaiseriole...*

Teraz ją uwięzili, nie króla, i dokądże wiodą?

Deszcz mrzy chwilami, droga biegnie pusta, zamarła, bez drzewa, bez domu, bez człowieka — dopiero tam daleko, w mgle, malutka kolumnienka-kapliczka, wybujała niespodzianie, ciągnie oko ku sobie.

Panna Godeliwa Nys wie, że w tej kapliczce siedzi na słupku z farbowanego drzewa, od czterystu lat, święty Bawon pustelnik, w płaszczu księżęcym, patron od nagłej i niespodziewanej śmierci i patron zresztą całej Flandrii.

Wie, że tam dwa razy do roku wieszają na długich hakach wieńce z chabrów i rumianków, które się potem nabożnie zdejmują i niesie procesjonalnie w dom, jak relikwie.

Czasem przykładna ręka zaświeca tam, za pozłacaną kratą, lampkę rubinową, która zawsze czeka na knocik, na oliwę i na wśród nabożnych westchnień wyszeptaną intencję.

Zbliżyli się do kapliczki i ot właśnie mogła panna Godeliwa (Nys zauważyć, że lampka rubinowa się świeci.

Był tu ktoś niewątpliwie, modlił się tu ktoś, ktoś z jej miasteczka, może z jej rodziny... Ta myśl wzruszyła ją nagle, ze wzruszeniem razem przyszedł lęk, zdradliwy cień padł na jej serce, lecz niema obawy, aby się panna Godeliwa Nys w razie danym zachowała nieodpowiednio do okoliczności. Panna Godeliwa była zawsze correct, zawsze na miejscu.

— ...*chantons la Kaiseriole*... prześladowe ją kuplet Botrela. Pikelhauby zatrzymują się — szwargocą — rozwiązują jej ręce i ów postronek z rąk zdjęty, zakładają, prawie że uprzejmie, na jej szyję.

Dziwne.

Przecież nie będą jej chyba wieszali bez sądu i w dodatku na poświęconych ścianach? bez spowiedzi?

Choć — kto wie?

Wciąż szwargoczą, lecz panna Godeliwa Nys mówi pacierz, więc nie słyszy. Słyszy w sobie wzmagający się lęk i równocześnie nakazy jakieś, że tak powiem plemienne, jakieś wzory nieodchylane: kto i jak ginął za jej Ojczyznę... miss Cavell — pan Filip Baucq — Gabrjela Petit... Powtarza sobie cicho, że miss Cavell przypięła do stanika malutką chorągiewkę angielską, aby w tę chorągiewkę celowali zbrodniarze — Pan Filip Baucq nie dał sobie oczu zawiązać niemieckiemu oficerowi, przy egzekucji:

— Niczego od tych świń nie chcę! — rzekł z furją.

Powtarza to sobie cicho, w kółko. Tymczasem przyciskają ją lekko do ścianki kaplicznej, deli-

katnie podnoszą ku wystającemu z przymurka hakowi, zarzucają jeden koniec pętli na ów hak i puszcza ją wolno pannę Godeliwę Nys.

Widocznie człowiek musi się zawsze nadziwić odzyskanej wolności, bo panna Godeliwa Nys długą chwilę kołysze bezradnie rękami, jakby strzepywała z twarzy piegi. Piegi te stają się szare, a potem granatowe, a potem nic już do kropel miodu niepodobne.

Nieruchomieje panna Godeliwa Nys.

Nie będąc już pytał najmłodszy braciszek:

...quic t'a barbouillé le visage zavec du miel?...

To już nie jest miód!

Gwałtownie, impetycznie szeleści pod jej plecami zeschły wieniec i gwałtownie migoce lampka rubinowa za pozłacaną kratą, przed świętym Bawonem, patronem od nagłej i niespodziewanej śmierci.

— Zdradziłaś szwabów, córko? — szepce może płomień lampki tajemniczo, w języku tylko pannie Godeliwie wiadomym. Jeśli tak, jeśliś ich zdradziła, śpij spokojnie, śpij dumnie, śpij słodko na haku, na którym bracia twoi wieszają wieńce z chabrów i rumianków od czterystu lat, aby je potem procesjonalnie wnosić do domów, jak relikwie. Wrócisz ty do nich także, córko, relikwią...

Śpij — za niewiadomo jaką zdradę ukarana śmiercią. Mojej Ojczyzny nie zdradziłaś.

12. *Niech śpi spokojnie zbudzona przez
wojnę siostra moja, której grób na kre-
sach rozwalił pocisk zbłąkany.*

*Nie wiedziała, że to bój o jej i moją
Ojczyznę, a wtóremu męczeństwu pod-
dała się dla Niej.*

Miłość zrozpaczonych rodziców nie wiedziała
czem uczcić miejsce jej wiecznego snu.

Trzysta fur ziemi wożono przez tydzień, aż
urósł wedle dawnych wzorów kresowych, olbrzymi
kurhan, odporny na wszelkie kataklizmy, ciężki,
samotny, na nowym i niezamieszkałym jeszcze
cmentarzu wiejskim.

Przed tą staniczą mogiłą słał się stary cmen-
tarz, pagórkowaty, toczący w dół kule grobów,
nagrobków, krzyżów, Panjezusów, Matekbożych
i aniołków.

Był cały, jakby spłynęła przezeń rzeka. Zli-
zany, szary, zamulony. Ze splątany haszczów,
głógów, wiciokrzewów, strzelały ku niebu siwe,
poturbowane fontanny dłoni kamiennych, krzy-
żów żelaznych, koślawych i giezeł piaskowcowych,
wszystko spłoszone niewiadomo dlaczego i śpie-
szące po zboczach niewiadomo dokąd.

Nigdy nie było ciszy na tym cmentarzu.

Przeciwnie.

Był niepokój, był jakiś pośpiech niepotrzebny nikomu, jakiś przerażony zamęt, jakiś głupi, ośle-
pły pęd ku dolinie. Ludzie mawiali, że tam dużo
samobójców leży i dlatego „porządne nieboszczyki“
nie mają spokoju. Jedna mogiła mojej siostry była
chmurnej, gorzkiej stateczności pełna. Zaryła się
twardo, jak posępna, wspaniała kwadryga, z przed
której rwie się opętany szal biegunów.

— Poco gonicie? Dokąd? U nas wszakże
spokój, cisza, u nas nikt przed nikim nie ucieka,
nam świat nie grozi, ani jego swary i borby, bośmy
już nieszkodliwi i bezpotrzebni! Nas żadna klęska
nie dotknie, żadne barbarzyństwo nie naruszy na-
szego snu i naszych domów. Strach nas strzeże.

Aż przyszedł dzień wojny. Strach gorszy od
strachu. Dzień sądu na Złotej Górze.

Cmentarz wciąż uciekał opodal po zboczu,
w dół, ale teraz istotnie ludzkie sprzeczkę i gniewy
goniły za nim wściekłym huraganem.

Raz wraz wylatywała między Panjezusem bo-
lejącym, a romantyczną kolumieńką, stara grusza
dzika w powietrze, korzeniami do góry, dookoła
których uczepione były, niby do wigilijnej choinki,
ludzkie piszczele i kosteczki uwalane błotem.

Raz wraz waliła się z hukiem jakaś urna,
w blaszane listeczki bluszczu spowita niewinnie —
jakiś pocieszny i żalony zarazem aniołek zezo-
waty, niosący od stu lat tabliczkę zczerniałych
niezabudek: „*śpij dziecińo!*“ czyjemuś niemowlęciu.

Raz wraz ułamywały się z łoskotem jakieś
poszczerbione, siwe, kamienne ramiona patety-

czne — baniasta głowa jakiejś świętej leciała łukiem bezwładnym w nicość, a za nią, jak za kometa, długi ogon białawego tynku.

Grzmoty drelowały, wyłuskiwały wnętrza grobów. Wokół zaś rozwalonych domów umarłych, płonęły na horyzoncie domy żyjących.

Cmentarz uciekał w dół, a za nim gnała jak sfora psów zawierucha wojny zajadła.

Mogila mojej siostry była wciąż nietknięta, mimo, że górowała na pustce bezdrzewnej, nieosłonięta. Ale właśnie wśród nagle spadłej ciszy (cisza, trzeba wam wiedzieć, pada w bitwie głośniejszej, niżli huk armaty) palnął pojedynczy, samotny pocisk, akurat w trzy ćwierci kurhanu. Ziemia rozstąpiła się błyskawicą, dwoma wachlarzami gliny, przerżnięta w pół niby bochen razowego chleba, aż do najgłębszej warstwy, aż do trumny srebrzystej, aż do kruchych, cieniutkich nóg dziewczęcych. — — Siostró! Siostró!!

Nie wiedziała, że to bój o jej i moją Ojczyznę, a wtóremu męczeństwu poddała się dla Niej.

13. *Niech śpią spokojnie nieszczęsne ofiary bolszewizmu, które ginęły samotne, w męce niewypowiedzianej na to, aby powstać mogła moja Ojczyzna.*

Pankratow był głównym katem czerezwycajki moskiewskiej. Jako przyjaciel poprzedniego kata, Emeljanowa, odziedziczył po nim chlubne funkcje, oraz sześciopudową krasawicę, Eufrozynę Iwanownę.

Urodził się w rizańskiej gubernji, w dostatniej, spokojnej, muzyckiej zagrodzie, u rodziców bogobojnych i dobroduszných.

Miał jasnocytrynowe włosy rzadkie, twarz zlekka sinawą, oczy błyszczące jak żuźle, szerokie bary, dwadzieścia siedem lat, wspaniałe mieszkanie na Strieteńce i, jak się wyżej rzekło, *pierwawo-kłaśną* kochankę, Eufrozynę Iwanownę.

Tej kochance znosił pierścienie, zegarki, kolczyki i papierośnice z tkliwym ferworem, otaczał ją też czułą opieką i pieszczotami, ale niechno by spróbowała spytać Eufrozyna Iwanowna o detale naprzykład dokonanych przez miłego egzekucyj!!! Wtedyby skądinąd subtelny Pankratow wpadał w ślepy szał i, milcząc, pięściami okładał tłustą twarz kochanki, aż do zupełnej jej nieprzytomności.

Ha! trudno!

Eufrozyna Iwanowna kładła nazajutrz kompresy na zniekształconą, do czerwonej poduszki podobną fizjognomję, z żałością konstatuując, że najszlachetniejszy nawet mężczyzna ma swoje słabostki.

Drugą miał jeszcze słabostkę Pankratow.

Mianowicie pasjonował się do złotych plomb w zębach. Ot, kolekcjonerstwo, jak każde inne.

Zaledwie padł skazaniec po jego strzale, względnie po wyrznięciu koltem w kark, rzucał się Pankratow ku niemu, obracał twarz martwą do światła i z wprawą zdumiewającą wyłuskiwał złote zęby ze stygnących, okrwawionych szczęk.

Dziwna rzecz! — zostawiał nieraz nowiuteńkie buty, brylantowe pierścienie i zegarki swoim pomocnikom, ale zęba plombowanego nie darował nigdy.

Drżały mu ręce na widok ust otwartych, w których łyśkał dyskretnie złoty opiłek, biegały niecierpliwie oczy, spazm chwycił za gardło.

— *Bezumec...* — dziwiły się czasem żołdacy, ale ostatecznie woleli przecie, aby brał zęby, a im zostawiał zegarki i pierścienie, niż żeby miało być naodwrot.

Pewnego dnia przyprowadzono mu uroczą kontrrewolucjonistkę, z rozkazem: „pod ścianę“.

Zachowywała się jak wszystkie mniej więcej, to jest dość głupio, błagając jego, Pankratowa, o łaskę, klękając przed nim, czołgając się, jęcząc i targając cudowne, popielate włosy.

Oczywiście nic sobie z tego nie robił. Były to akcesoria do jego funkcji. Te krzyki, te lamenty,

te gesty, dodatki prawie nieodzowne, które już dawno przestały go wzruszać i zajmować. Straciły dla niego smak, bo był czas, kiedy smak miały, ostrzący, piekący, jakby paprykę gryzł madziarską i zaciągał się najlepszym tytoniem.

Niech pokrzyczą, niech pojęczą, ich rzecz! Swoją drogą, czasem, gdy za długo te komedje trwały, walił „w mordę“ milcząc, jak Eufrozyne Iwanowną, raz za razem, z tępą, wzmagającą się wściekłością, ale to się rzadko zdarzało. Czasami przeciwnie: właśnie kiedy ktoś zanadto wyniosłe, zanadto wzgardliwie szedł w jego ręce, walił „w mordę“. To również rzadko się zdarzało.

Teraz obojętnie związał młodą kontrewolucjonistkę, broniącą się jak kurczę, słabiutko i śmieśnie — obrócił twarzą do muru, jak lalkę, ręce jej uczepiwszy do żelaznych kółek w ścianie i cofnął się do strzału o kilka kroków. Zaledwie to uczynił, wszedł nagle żołnierz z kartką, z krótkim rozkazem: puścić kontrewolucjonistkę!

(Ot mała, zwyczajna pomyłka — pomieniano nazwiska, czy wzięto za kogoś innego — czy potrzebna jeszcze była do konfrontacji — —)

Pankratow sklął sołdata i zaczął rozwiązywać rzemienie, ale kiedy dziewczyna w ogłupieniu, w obłędzie, roześmiała się spazmatycznie, przy czem ukazała dwa złote zęby w różowej palisadce dziąseł — drgnął Pankratow.

— Nu... puścić to puścić, ale zęby jej Bohu moje!

Struchlałą dziewczynę, do pół jeszcze skrepowaną, położył sobie na kolanach i szamocącej się ostatkiem sił, wyrwał sprawnie dwa zębki upa-

trzone, potem skropił ją wodą i czekał aż wróci do przytomności. Z malutkich ust pokaleczonych i rozdartych ciekł wolno sznurek krwi, żołdat obojętnie patrzył na scenę, o bagnet oparty.

— *Sygrajcie czto nibud...* — rzekł niespodzianie Pankratow. Sołdat uśmiechnął się przyjaźnie, odrzucił karabin, oparł się o skrwawioną, obryzganą móżgiem, upiorną ścianę, wyciągnął harmonijkę i zadrumiał :

— *...poczemu ja bezumno lubliu...*

To była trzecia słabostka Pankratowa.

Lubił harmonijkę ponad wszystko i nieraz, kiedy za dużo miał roboty, kiedy czeluście Butyrek, Łubianek i Weczek zbyt liczne przesyłały mu transporty „na rozstril“ i poprostu ręce mdlały jemu od strzelania, od bicia, od razów pięścią, którymi uśmiercać musiał czasami głupców, nazbyt do życia przywiązanych — kazał żołdatom grać.

Trzy, cztery harmonijki grały — krasiwie romanse — sarafana, albo karamańskiego — cieniutko, zwawo, do wtóru salwom, krzykom przekłętym, jękom, czkawkom i stentorowym obliczeniom dzielących się garderobą :

...piat rubach... siem worotnikow... bielij żiljet... pantalony...

Pankratow pogardzał garderobą zabijanych.

Po operacji wrywania zębów, wracała do mniemana kontrrewolucjonistka do swojej celi, oszalała ze szczęścia, z ceglastemi wypiekami na twarzy, z pokaleczonemi ustami. — Wracała jak z tamtego świata. Witwały ją oczy ucieszone, lub

pełne tajnej zazdrości — słuchano ze zgrozą jej szeptanej powieści.

Każdy z nich ofiarowałby dziesięć tysięcy zębów własnych, gdyby je miał i gdyby mógł, byle żyć — byle żyć!

Straszliwą cenę miało życie dla nich!!!

Im dłużej siedzieli w udręce czekania, tem kruchsze stawały się podwaliny ich dumy, ich obywatelności, ich godności.

Wszystkie typy, wszystkie lata, wszystkie rodzaje, mieściły się w tej okrutnej, ciasnej przestrzeni więziennej.

Były nawet dzieci.

Piotruś Ossipowicz Pokolniss nie miał ponad osiem lat, a czekał śmierci, jako ważny „spion“. Przyłapano go, gdy kradł ziemniaki na polu, a nie szczęście chciało, że pole to akurat leżało o parę kroków od linii bojowej. Sprali go batami, choć się tłumaczył, że to ojciec kazał kraść i zamknęli w Butyrkach.

Kiedy przyszła nareszcie godzina jego, ta ostatnia, i otworzyły się drzwi celi:

— Piotr Ossipowicz Pokolniss! z rzeczami! — huknął znany głos „komisarza śmierci“, Sajenkowa.

Wiedzieli wszyscy, co znaczą złowrogie słowa „z rzeczami“, wiedział i mały Piotruś, ale niebardzo sobie zdawał sprawę ze śmierci, więc szedł dość raźnie ku drzwiom z tobołkiem, raźniej niżli to czynili w takim wypadku starsi. Raptem z poza pleców Sajenkowa wysunął się morus w skórzanym bolszewickim garniturze, nie o wiele od Piotrusia większy, ni starszy.

— Tatku! — szeplenił namiętnie — obiecałeś mi dać rozstrzelać jednego z nich... tego mi dasz! Spodobał mi się! Mój tatku! daj mi tego rozstrzelać, mnie samemu...¹⁾

— *Kak chatitie, Griszeńka!* — uśmiechnął się pobłaźliwie Sajenkov i wtedy — dziwna rzecz! — ten mały Piotruś Ossipowicz, który szedł rażno w ręce dorosłego oprawcy, stanął jak wryty. Dwoje dzieci patrzyło sobie teraz w oczy i coś strasznego musiały powiedzieć oczy Griszeńki, bo Piotruś rzucił się całym ciałem na ziemię i zaczął krzyzczyć wysokim, przeraźliwym, zwierzęcym wprost rykiem :

— *...ja ne chaczu!!!!*

Cela i na to patrzyła w milczącym odrętwieniu, tylko niektórzy zasłonili zbiełałe twarze, drudzy zatkali uszy palcami. Jeden jedyny Karoly, głupkowaty jeniec niemiecki, wybuchnął śmiechem.

Właśnie w owych dniach, kiedy imiennik jego, graf Karoly, organizował triumfalnie na Węgrzech sowiety, on, człek pospolity, żaden graf, tapicer natomiast, czy piekarz z zapadłego, niemieckiego miasteczka, posądzony o pokrewieństwo z „arystokratami“, z grafami Karoly, gnił w sowieckim więzieniu.

Tak się dziwnie mścił duch rodu Karolych...

Pełna była po brzegi cela.

Czekał na śmierć nieuniknioną, nieludzką, dawny carski minister spraw wewnętrznych, Markarow, dumny pan, zacięty, wyniosły, z jakąś martwą pogardą traktujący oprawców, czekał Ta-

¹⁾ Autentyczne.

tyszczew, dawny dowódca korpusu żandarmskiego, czekał pyszny książę Dołhoruki, adjutant i osobisty przyjaciel Mikołaja II, czekał Dżunkowski, gubernator Moskwy i Kniazew, generał gubernator Irkucka, czekał generał Skrydłow, brat admirała, z żoną i synem, czekała dziesiątka biskupów prawosławnych i prokurator Synodu — —

Wiedzieli, że nic ich nie uratuje.

Odchodzili powoli, jeden po drugim, aby już nigdy nie wrócić — pisali listy pożegnalne, które nigdy nie dochodziły — palili nerwowo „fajkę pokoju“ z socjal-rewolucjonistami (*„na pożegnanie, bracie, ja, monarchist, zapalę z tobą fajkę pokoju, na progu wieczności, bracie...“*) płakali, lub zacinali się w niesamowitem milczeniu, jak Makarow, jak Dołhoruki — lub wychodzili z celi w śnie prawie że sonambulicznym, uśmiechnięci, jak na przykład baronowa Majdel, siostra rodzona Borysa Sawinkowa, późniejszego zdrajcy, lub czołgali się u nóg zbiorów w obłąkaniu, w szale rozpaczki niemającej nazwy. Niektórzy zaś poprostu wieszali się na własnych szelkach, czy pociętych koszulach i rozrywali sobie żyły kawałkiem drutu. Ta „kontrrewolucyjna“ operacja udawała im się czasem, a czasem docucano się ich i dzieła dokonywał Pankratow — tym razem nieomylnie.

Lub dokonywał... tyfus.

Ginęli na tyfus plamisty jak muchy. Szpitale były przepełnione, walono pokotem konających na podłogi nigdy niemyte, rojące się od pluskiew, karakonów i wszy — na żelazne prycze, w chlupiącą od wilgoci słomę, po pięciu, po sześciu. — Szpital był gorszym piekłem niżli więzienna cela,

zaczęli więc ludzie w czterdziestostopniowej gorączce, udawać zdrowych, aby ich nie zabierano z cel do szpitala, choć nikt nie miał nic przeciw spokojnej, własnej śmierci.

Jeśli kto miał chorego przyjaciela lub kolegę, to, znając godzinę wizyt quasi-lekarskich, kładł mu zimne kompresy, aby ochłodzić jego czoło i ręce i oszukać lekarza, wmawiając, że ten nie jest chory ani trochę, tylko śpi. Chory zaś nie spał, tylko mżył nieprzytomny, w piekielnej gorączce i tak przechodził niejeden w zaświaty, cicho i łagodnie, pod czułą opieką przyjaciela.

Dzienniki urzędowe zapowiedziały, że „14 stycznia” zniesiona zostanie kara śmierci w Moskwie. Więc — prosta rzecz — 13-go zaczęto od świtu rozstrzeliwać więźniów. Masami wyprowadzano ich z cel — strzały huczały we wszystkich piwnicach, kurytarzach, w parku Piotra Wielkiego, pojedynczo i salwami. Krzyki rozdzierały powietrze nieznośne, a wśród tego, urywanem staccatem, hurczały odjeżdżające w dal samochody.

Rano wprowadzono małego człowieczka do butyrskiego więzienia. Miał przestrzeloną czaszkę i przestrzelony również język. — Mówić nie mógł, lecz wszystkimi możliwymi znakami dawał do zrozumienia towarzyszom, że skazany na śmierć i prowadzony na egzekucję ocalał, dzięki temu, że sołdaty zgórowały. Będzie żyć!

Szalał, wiercił się, śmiał się jak dziecko do łez, choć paliły go rany, a opuchły język wypełniał całą jamę ustną, dusząc go i dławiąc. Nie mógł się życiem dość nacieszyć. Wciąż przed tym

i owym stawał skrwawiony, siny, radosny i opowiadał palcami, rękami, oczami, jak długo siedział w „okręcie śmierci“, jakie przeszedł tortury, jak mdlał wleczony na egzekucję i jaki jest teraz szczęśliwy, jak niewymownie szczęśliwy.... Jutro kończy się kara śmierci w Moskwie, więc nic mu nie grozi, nic zrobić nie mogą — będzie żył!!

Nie skończył opowiadać po raz setny swoich dziejów i swojej radości, kiedy zgrzytnęły drzwi wchodowe i rubaszny głos Pankratowa zapytał, od progu, gdzie jest ranny. Dojrzał go zresztą sam:

— Chodź, a prędko!

Przekrwione gałki oczne stanęły najpierw w słup, a potem zaczęły z pod powiek wyłazić, wyłazić coraz bardziej na wierzch, jakby na kołki nadziane. Ręce dotykały w pomieszaniu głowy i ust: przekonać się chciały, że przecież niczego nie kłamał, że nic z tego nie jest snem, że był raniony przy egzekucji, ułaskawiony, że go już zabić nie mogą — nie mogą — absolutnie nie mogą — — prawda?

Nikt nie odpowiadał na te wątpliwości, na te sprawy.

Pankratow, zniecierpliwiony czekaniem, podszedł.

— *Nu, idiosz?* — a kiedy ranny wciąż stał zdrętwiały, zarzucił mu płachtę na przerażoną twarz i wypchał za drzwi, choć się ten miękko czepiał drzwi i stołków, gdakaniem jakimś i pi-skliwym falsetem dając znać o swoim strasznym niepokoju.

Znowu te akcesorja tak dobrze znane Pankratowowi!!!

Po długiej, długiej chwili, runął głuchy strzał, nawet gdzieś blisko, w jakimś sklepionym dziedzińcu, bo echo załopotowało kilkakrotnie i nastąpiła cisza, aż ją znowu rozdarł inny głos.

Turkotał tym razem niecierpliwy motor samochodu¹⁾.

Śpij człowieku nieznany nikomu, z najwyższego djapazonu radości wyrwany brutalnie i ciśnięty w nieustępliwe objęcia śmierci. — Śpijcie wszyscy męczennicy obcej sprawy, która stała się nadspodziewanie sprawą mojej Ojczyzny.

¹⁾ Wszystkie szczegóły autentyczne. Patrz wspomnienia Nadezdina, Czernowa, Czumakowa, Sutuzenki, Bekreniewa w zbiorowym wydaniu p. t.: TCHE-KA traduit du russe par E. Pierremont.

14. *Niech śpi spokojnie śniada Ormianka,
w habcie sióstr Dominikanek, zagłodzi-
zona przez Kurdów w pochodzie ewa-
kuacyjnym. Nie wiedziała, że za skałą
królowej Semiramis, za jeziorem Wan,
za Morzem Czarnem leży moja Ojczy-
zna, a umarła dla Niej bez skargi, po-
godnie szepcząc różaniec.*

Ze wszystkich tworów, jedna miłość pozostała nieprzeobrażoną i niezmienną.

Szał miotał kabylem przedhistorycznym tak samo, jak najsubtelniejszą markizą XVIII wieku.

Tarzały się królowe u nóg pasterzy i moźni tego świata zdobywali z trudem, lub łatwością, serca midinetek.

W tej dziedzinie, w tej jedynej, nic się nie zmieniło.

Dziwią się planety, dziwi się sprzęt każdy, podlegający srogiemu prawu ewolucji, dziwią się nawet same serca, ale to nie wpływa na istotę miłości.

Wycina się wyrostek robaczkowy — rozmaite organa stały się przeżytkami — serca nie tknęły wieki.

Królowa Semiramis tak samo kochała Arę Pięknego, jak Homo Neanderthalensis kochał Feminę Neanderthalensis, jak Khunaten kochał herberyjską księżniczkę Tii o oczach koloru sasanki, jak Tuthankamon kochał swoją piętnastoletnią, ciemnocerą małżonkę Anches, jak Joanna Obłąkana kochała Filipa, Julietta: Romea, a panna de la Vallière płochego króla Francji.

Nic się nie zmieniło w biegu historii i ludów. Wzajemność lub bezwzajemność tworzyła nieraz olbrzymie państwa i obracała je w pustynię.

Ara Piękny naprzykład, wolał pasterkę ormiańską od najurodziwszej królowej Babilonu. Wzgardził Semiramidą dla czarnego czupira, a pod wpływem tej wzgardy miłość królowej spotęgowała się do wyżyn szału, graniczącego z nienawiścią.

Całą swoją asyryjską armję powiodła przeciw temu księciu, który wolał od niej pasterkę śniadą. Niszczyła kraje, zatapiała okręty, wycinała lasy, mordowała białe, żółte i czarne ludy Azji, byle dotrzeć do tego głupca, który nie chciał ani serca swego jej oddać, ani ziemi.

Na krwawych włóczniach swoich pułków, niosła mu zaklęcia miłosne, na ostrzu mieczów, swoje serce stęsknione, a Ara przebrał się za prostego żołnierza i jako prosty żołnierz walczył tu, nad jeziorem Wan, przeciw jej wojskom, przeciw jej tęsknocie, jej zaklęciom, jej sercu. Śniada pasterka niosła za nim tarczę i syna.

Lecz wszystko tamto okazało się mocniejsze od niego.

Poległ Ara Piękny.

Pośród trupów, gęstych jak las, wynalazła, wyczuła, wyplakała go królowa Semiramis. Kazała owe pełne niewidzianej cudności zwłoki nieść w splendorze swego królewskiego namiotu, pod wachlarzami z piór najrzadszych ptaków, a sama, jęcząc, szła za pochodem i rwała włosy ogniste.

Przed cudotwórczemi bóstwami Lezku uklękła, nie wierząc i wierząc, i krzyczała głosem wilczycy, aby zlizaly śmierć z cudnego oblicza, aby jej obudziły kochanka, choć na przeciąg jednego pocałunku...

Bóstwa jednak szanowały wolę Ary i jego wstręt. Nie zbudziły go, nawet na przeciąg jednego królewskiego pocałunku — może one zresztą zbyt długo trwają? dość, że więcej nie powstał z mar swoich Ara Piękny.

Śpi pod skałami Lezku, nad jeziorem Wan, a dusza królowej Semiramis czasem przychodzi w nocie miesięczne i tuła się u stóp grobowca. Nie o ziemię Armeńską jej chodziło, bo po pochowaniu najdroższych zwłok, machnęła ręką na podbitą, żywną, wspaniałą krainę.

Panował spokojnie do końca życia syn Ary, urodzony ze śniadej pasterki.

To wszystko spisane jest pismem klinowem, zatartem, na steli, u wejścia miasta Wan.

Karawana ewakuowanych błędniemi oczyma patrzyła w ten znany napis i w to miasto. Pamiętał tu prawie każdy dokładnie legendę królowej i wielu z teje miejscowości pochodziło.

Wlekli swoje nędzne, wygłodzone, zbite batami Kurdów ciała, bez protestu i nie wyglądali zdaje się niczego, chyba śmierci.

Ku temu więc miastu, obróconemu w miazgę i gruz, szły obojętnie dzieci na węgiel spalony słońcem, szli starzy, o włosach wydających się śniegiem przy ciemnooliwkowej cerze, szły kobiety różnego wieku i stanu i szła jedna zakonnica w białym habicie sióstr Dominikanek.

Cała śniadość ormiańskiej rasy, dopiero pod białością kornetu występowała ostro.

Bywają takie bizantyjskie obrazy madonn. Blacha srebrna wokół, a z poza srebrnej blachy patrzy na ciebie twarz koloru sienny i przepaściste, czarne, łagodne oczy. Równie z rękawów srebrnych wyglądają dwie rączki miłosierne i czerniawe, jak napół spalona kawa.

Tłum niósł ją właśnie tak jak bizantyjską ikonę przed sobą, jak feretron o tajemniczej mocy ochronnej. Żadnych świateł przy niej, ni gromnic, a mimo to lśni z daleka białością swojego habitu, którego zbyt podarty ciemny płaszcz nie zasłania. Jak żagwie przystani, tak płoną jej oczy.

Czerniawe ręce siostry Ankin przesuwały wciąż ziarnka różańca. Będąc na progu śmierci, musiała podwajać ilość modlitw, zresztą wymagali modlitw i bliźni. Zamordowani zostali w jej oczach i najprzewielebniejszy biskup z Kharputu i biskup Khaczadarian z Malacji i wszyscy księża z Seertu, Neren, Chachiru i Meddeath. Większą zgrozą, niż te mordy, napełniała ją myśl, że chrześcijanie z Ezreum przeszli na mahometanizm, aby się ustrzec od śmierci z rąk Kurdów. Modlitwa jej

była wzbudzona, ale nieustanna za dusze tych Abdullachów.*)

Niewiadomo też co się stało z ojcem Bernardem, przełożonym ich francuskiej misji dominikańskiej w Wan... Święta Gajena, patronka Armenii, opiekuje się nim... Tymczasem przed nimi skrzyły się ruiny miasta. Jezioro myło jego rozgrzane, poturbowane stopy, jak miłująca pokutnica, wstęgami złotych włosów. Stara cytadela zagradzała mu drogę do opustoszałego wnętrza, a bazar Khadżpogan odgradzał samo wnętrze od tak zwanych „ogrodów“. Wszystko to było rozstrzelane armatami Dzewdet-beja. Wszystko już było chwałą minioną.

Dla mniszeczki ta miniona chwała nie była budującą. Również zachowanie się młodych Ormianek nie było takim, jakim by je mieć chciała wobec Boga i ludzi. — Ale żal jej było kątów swoich i swoich rodaków i w dodatku ziemia ta, była potrochę Ziemią Świętą dla niej. Stąd przecież wypływała rzeka Eufrat, która zwilżała swego czasu Raj i poila usta rodziców pierwszych i pierwszych patryjarchów — tu wznosiła się święta góra Ararat. Może dlatego łaskawszą była mniszeczka na przeszłość Wanu i na swawolę jego mieszkańców, którzy mawiali, białe zęby obnażając: *„Wan jest na tym świecie, a raj na tamtym i niewiadomo co piękniejsze“*...

*) Abdullachami zwano w Armenii odszczepieńców od religii chrześcijańskiej. Wypadki opowiedziane powyżej działy się w roku 1915 w Armenii, gdzie Kurdowie wyrznęli blisko milion Ormian. Patrz Henry Barby: „Au pays de l'épouvante“.

Zakonnica wierzyła, wiedziała, że na *tamtym* raj jest piękniejszy, dlatego wkraczała do Wanu ostatkiem sił, bo tam napewne kres.

Nogi jej spuchły od dalekiej drogi i od straszliwego głodu. Widziała już na nich początki głodowej gangreny, czyli początek końca.

Podwajała tylko modlitwę i strzępem starego płaszcza dominikańskiego osłaniała się od wichru. Przestała sobie zdawać sprawę, czy ten wicher pali chłodem, czy żarem. Chyba żarem, boć to sierpień. Dość, że palił nieokreślonym podmuchem i gnał karawanę wprost w paszczę rozwalonego miasta, a pomagał mu w tem bat szesnastoletniego okrutnika, Mussabejowego syna.

Od przejeżdżającego muły dostała rano kawałek chleba, lecz nie mogła go przecież zjeść, kiedy wokół wszystko z głodu ginęło. Więc ukradkiem wetknęła kromkę bezzębnej staruszce, a ta zaczęła zaraz ową kromkę ssać z mlaskaniem dzikiem.

Przed stelą o klinowym napisie, przed wrytym obrazem życia assyryjskiej królowej, uklękła jednak. Nie mogła już iść dalej. Wzdragała się na myśl, że musi umrzeć klęcząc przed tą tablicą, opowiadającą plugawe dzieje wszetecznej poganki, ale cóż? kto Boga szuka, znajdzie Go wszędzie — w miejscu najokropniejszym, cieńka warstwa Go tylko zakrywa i lada głosik błagalny Go dojdzie jak flet....

Tłum deptał ją teraz, potraçał, wygłodzone muły odskakiwały w bok przed jej leżącą postacią.

ale koła wozów przejeżdżały tuż o włos od jej twarzy, od jej rąk. — Wszystkim nagle stało się spieszo do ruin, wśród których ktoś może znajdzie w przelocie kruszynę chleba i sekundę odpoczynku.

Najbliższą owego błogosławionego odpoczynku była jednakże siostra Ankin, Dominikanka.

Martwiło ją, że dziś nie mogła, wedle praw swojej reguły, przyoblec nowego habitu, jako że to był dzień św. Dominika, piękny, sierpniowy dzień, w którym wszyscy Dominikanie na całym świecie, nawet na łożu śmierci, przyoblekają czysto wyprany, odświeżony habit — ale Bóg wybaczy. Nie jej wina. — Na św. Katarzynę Sieneńską też go nie zmieniała — też była bez dachu....

Ścisnęła mocniej różaniec w czerniawej rozpalonej dłoni i zrazu powtarzała zdrowaśki swoim śpiewnem, spiesznem, indogermańskim narzeczem dziwnem, kiedy jednak po chwili przyszło jej na myśl, że umiera, przerwała różaniec i poważnie, pełna pogody zaczęła wymawiać przepisowe, łacińskie modlitwy zakonne dla umierających :

— *Protege Domine, famulam Tuam subsidis pacis et beatae Mariae semper Virginis...*

Subtelna głowa w rozmiękłym od deszczów kornecie oparła się ufnie o tablicę z klinowym napisem, głoszącym miłość królowej assyryjskiej do Ary Pięknego i miłość Ary Pięknego do śniadej, ormiańskiej pasterki.

Nie szkodzi.

Kto Boga szuka, znajdzie Go wszędzie. — W miejscu najokropniejszym, cienka warstwa Go

tylko zakrywa i lada głosik błagalny Go dojdzie,
jak flet....

I tak zginęły w zawierusze wojennej te dwa
krańcowo sobie obce światy, klęską zbliżone z po-
zoru — aby poza nimi powstał mój świat: moja
Ojczyzna.

15. *Niech śpi spokojnie kary koń na Mazurskich Jeziorach, któremu granat wypruł wnętrzności i zasypał dobrotliwe oczy szutrem i błotem.*

Na przedzie kary koń, tak ładny, że aż za ładny. Jak bywają ludzie zbyt ładni, przesadnie piękni, tak bywają i konie przesadnie piękne.

Ten na przedzie był właśnie za ładny.

Chrześci na nim radośnie uździenica, też za nowa — grzywa zapleciona w warkocze — warkocze powiązane tęczą wstążek, jak koski dziewczęce fruwią na wietrze. Wstążki też za nowe, za lśniące, za jaskrawe.

Aż za piękny kary koń!

Chrapy ma wytynkowane na rubinowo, oczy jak u demimondainy, zapuszczane atropiną, nie przeczuwające żadnej grozy — skąd!?

Pan jego wie, to dość.

To nie tylko „dość”, to raj, to upojenie. A jeszcze kiedy go Pan poklepie po szyi, po której siedemkroć sto tysięcy żyłek się nadyma — szczęście jego przechodzi w stan zachwytu, w nieprzytomną ekstazę, w wulkany młodzieńczej ochoty. Tchu mu brak, gardziel ścisza żar i uniesienie — nie może pohamować wybuchu, więc podnosi cudny,

aż za cudny łeb i rzy jak grzmot na wszystkie węgły świata. Odpowiadają mu inne konie, w szeregu stojące — coraz dalsze — coraz dalsze — nawet ten nędzny dereszowaty pokurcz, który wlecze bęben piechocie i ta pękata krampa od kuchni polowej....

Gdzieżby Pan wiódł go w niebezpieczeństwo?! gdzieżby narażał te jego prześliczne, aż za prześliczne nogi z jedwabiu i mięśni, tę jego połykliwą pierś, te jego buńczuczne oczy, te dumnie łopoczące chrapy — nonsens!

Idziemy w tan, idziemy w turnieje, idziemy w igrzyska! Ziemia drży? No tak. Z uwielbienia drży, armaty ryczą na chwałę — on to zna! Odbywał niejedną rewję w obliczu najjaśniejszego Dworu (gdzieżby jaka rewja bez niego!?) — cóż go może zmieszać po spojrzeniu tamtych kilkuset par najdostojniejszych oczu, przed którymi „wyskakiwał ze skóry“ wprost, aby się pokazać, aby się wyróżnić, aby być najkrasiejszym z krasiejszych....?

Jak flet wysmukła się, lśniący i drżący w palcach swęgo pana. Nozdrza jego rozedrgane nie wciągają niczego, krom upojenia i uszy malutkie i ostre nie strzygą, choć bzyk częstotliwy, świszczący wzmacnia się i raz po raz przecina powietrze, jakby tuż nad łbem, nad cudnym, nad nazbyt cudnym łbem.

— Bzzz.... wiiiijjuuuuuu.... bummm! trach! trach! trach!

Z niespodziewanego krateru leci gdzieś w niebo i wśród nagle pociemniałej ognistej zorzy wali nim coś o ziemię — popręgi pękły wszystkie — coś

się dzieje — czarno, a wśród tej czarności rozlewa się maź, a wśród tej mazi zwijają się wokół niego i rozwijają obwałanki cienkich, krwawych węzłów. Jakby mu z brzucha wypływały. — — —

Jak też patrzą oczy jego w osłupieniu!

— Gdzie Pan? gdzie szczęście? mówi ich słodki, barbarzyński aksamit.

Drugi grzmot, trzeci, czwarty.

Dobrotliwe oczy zasypuje teraz błoto i szuter, a męka zaczyna prawie dorównywać dawnemu szczęściu.

Aż mija, jak szczęście.

16. *Niech śpi spokojnie siwy byk na po-
graniczu serbskiem, niewprawną ręką,
tępym kozikiem zarżnięty, którego dy-
miące, półsurowe pośladki karmiły nie-
znanych żołnierzy w dni głodu i chłodu.*

Za ten ułamany róg odprowadzili go od pług
brodaci, obcy ludzie.

Westchnął głęboko raz po raz, że już się koń-
czy całodzienny trud. Teraz położy się wygodnie
na miękkiej, chłodnej ziemi i wypocznie. Tylko
o odoczynku marzy. Jeść jakoś mu się nie chce.
Ganiali nim od świtu w pojedynkę przy pług. —
Parę od niego zabrał dawno wysoki, ostrogłoty
handlarz, więc sam musiał teraz pracować za to-
warzysza i za siebie.

Ach, spocząć!

Długie, kremowe rzęsy opadają na zmordo-
wane oczy, uszy kłapią delikatnie w tę i tamtę
stronę, od much i od myśli. Z wilgotnego i śliskiego
pyska płynie sznurek pocziwej śliny do ziemi.

Pić mu się chce bardzo, ale nadewszystko
wypocząć.

Nie jako żer przedstawia mu się trawa siwo-
zielona, jesienna, lecz wyłącznie jako legowisko.
Ot właśnie las, pewnie się tu zatrzymają i spoczną.

Czasem ludzie nie zaraz idą do domów. Widzi byk ognisko, płonące wśród jesiennego chłodu, syczące, prychające, stubarwne, dymem okraszone. Brodate postacie ludzkie kręcą się wokół i krzyczą. Ludzie zawsze krzyczą, czy trzeba czy nie trzeba.

Ledwo stanęli, dwóch brodaczy zarzuciło mu sznury na tylne i przednie nogi i poderwali je. Właściwie poco? Niewiadomo. Bo on przecież tak czy tak byłby się potulnie i ochoczo położył. O niczem innym nie marzył. Aż jęknął, tak padł całym cielskiem. Oddychał głęboko, z rozkoszą, żebra potem złane tuląc do miłej, chłodzącej ziemi.

Poco mu nogi pętają? Nie pragnie przecież wstawać! Ziemia jest tak miła i kojąca. Zawsze myśli o jędrnem wymieniu matki, kiedy się na ziemię kładzie i tuli do jej tętniącej, kojącej powierzchni. A kiedy jeszcze, leniwie leżąc, skubie i ssie sok z trawy smakowity, w promieniu głodnego pyska rosnącej — podobieństwo staje się jeszcze bardziej istotne — — —

A ci głupi, poczciwi ludziska wiążą mu nogi, aby nie wstał i nie poszedł do pługą zpowrotem!!!

Skończyli wiązać nareszcie. Jeden siadł mu u wylotu szyi okrakiem i majstruje coś. Bóg raczy wiedzieć co?

Byk przymknął oczy, spraw ludzkich nieciekawym i próbował zasnąć, choć ludzie wrzeszczeli i poszturkiwali brutalnie jego boki.

Na podgardlu poczuł gmeranie zimnych rąk i maleńki ból go przeszył.

Głupstwo! ból nikły i mdły. Pewnie wpił się bąk w szczecinę i złopie krew bezkarnie, lecz cóż mu poradzi? Niech złopie. Trzeba cierpieć. *Człowiek wszystkie zwierzęta nauczył cierpieć.*

Ale po jakiejś chwili ból zaczął się wzmagać, stawał się dojmujący, okrutny, głębszy...

Nagły niepokój podniósł migdałowe rzęsy i spojrzały przed siebie łagodne, senne oczy.

Co to może być!?

Targało coś i szarpało jego gardło, a ból wiercił coraz dosadniej, — dobierał się do samego dna — — —

Co oni mu robią!?

Rzucił się najpierw słabo, ostrzegawczo, próbnie, lecz sznury nie puściły — ach, więc miały cel sznury?! Zaczął się tedy rzucać coraz rozpaczliwiej, a ból rznął go już piłą, straszny, niedozniesienia. Poczul w pysku przerażającą słoność krwi i mgła zasnuła mu źrenice.

Brodacze śmieją się do rozpuku i krzykami podżegają tego, co u wylotu jego szyi siedzi:

— Nuże, Urosz! ile dni będziesz jeszcze tam rznął? Tak różnie delikatnie, jakby matkę rodzoną... widział kto takiego durnia!?

— Dobrze wam mówić, przekłete nasienie, kiedy nóż jak pień...

Teraz zezłościł się na dobre i zaczął pracować z furją, roznamiętniony krwią i śmiechami towarzyszy. Darł poprostu ciepłe gardło, szarpał je już nawet trzonkiem noża, byle się dostać do głównej arterji.

Byk szalał w powrozach i rękach człowieka, ryczał błagalnie i charczał. Kremowe rzęsy zalane

już były krwią, ciekącą z oczu — krew buchała też z nozdrzy i z pyska — trawa wokół stała się jak dywan z purpury, a ręce zimne wciąż szukały w posoce i dymiącem mięsie źródła życia.

Nareszcie dotarła niewprawna ręka i tępy kozik do tego źródła.

Byk szarpnął się gwałtownie — dziecięcy prawie płacz buchnął z otwartego gardła i głowa wydłużyła się i spłaszczyła niepomierne na purpurze dywanu.

Tak urzeczywistnili ludzie jego marzenie o spoczynku.

Istotnie spoczęł.

17. *Niech śpi spokojnie cicha, zestrachana,
szczena suka, którą przejechała w pół
armata Stanów Zjednoczonych.*

Taki duży taran, taka olbrzymia machina na nią, maleńką, zaplątaną w kudły i szczeną!

Byłaby się sto razy przemknęła poprzez te warczące koła, poprzez ten świst, ryk i buczenie. Boże! alboż to raz był odpust, albo i jarmark i wozy jechały, jechały, ale teraz przecież pieski miała urodzić jutro lub pojutrze, więc brzuch, wiadomo, włókł się po ziemi, akurat dwa razy tak duży, jak ona cała. Sapała i stękała, lecz głodna była, trzeba było poszukać pożywienia trochę, tedy biegła jak mogła najszybciej przez wieś, do znajomych jej dziur i zakamarków. Bywały tam kartoflane łupy i czasem chleb zapleśniały. Może będą. Ale cóż to się we wsi dzieje? Jeszcze nigdy tyle wrzawy nie było! Tysiące młynów huczy — ludzie jacyś całkiem obcy idą i idą, jadą i jadą, kurz wznosi się aż po same niebo — dudnią, ryczą, dzwonią, zgrzytają. — Takiego odpustu, ani takiego jarmarku jeszcze nie było jako żywo...

Mimo to byłaby się sto razy przemknęła poprzez te warczące koła, gdyby była jak dawniej smukła i zwinna — dziś nie sposób. Brzuch się

wlecze po bruzdach, które środkiem wsi porobiły mknące samochody i armaty — kudły okręcają się dookoła osłabłych nóg — obco, głodno, ciemno.

Taki duży taran, taka olbrzymia machina na nią maleńką, zestrachaną i szczeną! Cóż dziwnego, że z tej popielatej kupki została tylko parucentymetrowa kupka krwawa, wężyk ognisty wśród kanwy bruzd i żłobień — nic więcej, a i to na chwilę tylko. Bo gdy przez tę kupkę krwawą przejechało pięćset samochodów, czterysta armat, tysiące tanków, luda i koni — nie zostało i śladu z kupki krwawej.

18. *Srebrna mewa nad Bosforem, którą
ściął propeler angielskiego latawca,
niechaj śpi.*

Łuczniczka niewidzialna położyła ją na niewidzialnej cięciwie, między skrzeniem lazurów i tak śmignęła rozedrgana i srebrna popod słońce. — Tak czynił ów łuczniczka sto razy na dzień, dwieście razy, w nieskończoność.

Opadła — przeczeswała puchem fale, które były w tej chwili jak z metalu i odbiwszy się końcami skrzydeł jak o trampolinę, strzeliła znowu ku słońcu, lekkomyślna, wyzywająca — nawprost. Paliło się to słońce nienasytnym płomieniem, kręgiem gorzącym na szczyroczłotej patenie morza, międzyprzestrzeń tą wypełniała wciąż mewa, persona ważna, posłaniec szalony.

Krzyczała cieniutkim, denerwującym dyszkan-tem, napoły żałości, a uderzywszy o niewidoczną ścianę w powietrzu, wracała na łeb na szyję na rozżoconą falę — niby ćma, która opaliwszy sobie skrzydła o wiszącą lampę, leci bezwładnie w przepaść.

Tylko, że ten proceder powtarzał się u mewy nieszkodliwy. Nie opalała skrzydeł i wracała wciąż piorunami skrzeń na swą drogę niewytyczoną.

Wogóle była to jakby tajemnicza gra na zgoła nierealnym terenie. — Niewidoczny był łuk, który srebrną strzałę wypuszczał w powietrze, niewidoczna była ściana, o którą ta strzała się odbijała — mah jongg jakiś niezbadany, w eterach...

Naraz — —

kiedy w lekkich skrzydlatych lansadach gnała po raz tysięczny ku słońcu, padł na nią pośród niepokalanych lazurów nagły cień.

Jakże to możliwe? Co mogło się znaleźć między nią a słońcem? Nie ta ściana udana, wyimaginowana, od której odbijała się sto razy na dzień, lecz istotnie jakaś zaporą niezwyčajna. — Czarne groszki oczu wbiły się chciwie w nadlatującą stworę.

Ptak?!

Przechodzi on jej mewie pojęcie, sztywny, złowróbnny, pełen furkotu, fetoru i huk. Wypłynął na błękit całkiem niespodzianie i sunął w lazurze skrzącymi płozami. Rozwarł skrzydła nieruchomo, tak, że zdawał się wciąż lądować, tymczasem płynął, zagarniając powietrze coraz burzliwiej.

Mewie serce zabiło na trwożę, krzyknęła jeszcze przeraźliwiej, lecz ciekawa zawsze, ufna, wścibska i głodna, poleciała pięknym, kokieterijnym łukiem ku Niewiadomemu, wprost w paszczę, wprost w dziób utajony.

Padł cios. Jeden, krótki, piorunujący, błyskawiczny.

Poleciały teraz *dwie mewy* w dół na fale — —
dwie?!
Nie! toż tylko jedna, ale przecięta na dwoje.

— *Do you see, dearest?* — rzekł jakiś wzru-
szony, młody głos na jakimś statku — białe kwiaty
lecą na morze.....

19. *Niechaj śpi chybkie karno płaszczyk
ciernistych na Oceanie, zgniecione wy-
polerbwaną piersią łodzi podwodnej.*

Ani to niewodowy bat, ani kuter towarowy, ani sznaga. Tajemnicze na niej znaki i ciosna. Lśniące wysocze i nieoddychające boki wznieciły lęk straszliwy na dnie morza, rozpełtały bujowisko niebrywałe.

Trzeszczały korale łamane, organkowce, gąsćioły i czerwone piórówki. Meduzy oszalałe z przeżrazenia, rozkładały swoje warkocze — zmykały naoslep kieszeńce, ośmiornice, pająkowate jeżokraby. Dygotał nawet przepyszny, nieruchomy kwiat: turban morski, a z bełków oceanu najgłębszych szedł jęk i świst.

Łódź dziwna paliła się jak bliza, przerzynała ostrym nożem swojej piersi kipiące mrzostowiska ryb. Żadnego użeglenia nie miała, wiosła zamiast w dół, w topiel zanurzone, trzymała do góry zadarte i zgubione wysoko na powierzchni morza, na cichej gładzie pieszczotliwej.

Trzpienia jakieś na niej i haki, szkła i dziwy. No i że wpadła na dno oceanu, a mimo to płynie dalej i rżnie dalej wśród prysku i wrania, a za nią delikatnie kurzy się morze....

Kiedy echo wodne podniosło i skrzyknęło lud

morski, ruszyły ryby naprzeciw tej pokraczność złowrogiej. Zmówiły się żarłaczce i tasze. Drętwiki w czarne gwiazdy wysypały się naprzeciw, kusze podniosły swoje młoty dwustronne i przelewało się to wokół łodzi, kotłowało, muskało, ujadało nią, wciąż równie obojętną, uroczystą i milczącą.

Zamknięte na wieki pudło jej, niosło poprzez dunugi morskie tajemnicę rozpaczy ludzkiej, czy strachu ledwie opanowanego, czy wyężenia nerwów — tajemnicę oddechów tamowanych i niepokoju podnoszącego włosy na głowie. W toni zagłębieni mieszkańcy łodzi, przyciśnięci wałem fal, nie mogli niczego dojrzeć z tego, co ich otaczało — oczy zostawili na powierzchni morza, wiecznie głodne zagubionej ziemi i wpatrzone bystro, aż do bólu, z rozpaczą, w pustkę Oceanu, na której miał być sygnalizowany wróg¹⁾.

Serca ich biły niecierpliwie aż do omdlenia, gardło ich dusiła zmora sztucznego oddychania, ściany stalowe opancerzały ich wolność, a wszystko poto, aby oczy, pozostawione na morzu, odłączone od ich nieszczęsnych organizmów, pełnych anormalnego lęku, dopatrzyły owemi mackami peryskopów: wroga. Dalekiego, czy bliskiego, niewiadomego, okrutnego wroga.

Okrucieństwo szło z nimi, nad nimi, wokół nich. Mordowali wciąż, cokolwiek wpadło w ich wir — — —

¹⁾ Łódź podwodna, jak wiadomo, ma peryskopy jak komin, tak, że jej załoga, zanurzona na 7—10 metrów pod wodą, widzi zapomocą tychże peryskopów, sterczących ponad powierzchnię morza i zapomocą kombinacji lusterek, wszystko, co się na tej powierzchni dzieje.

Właśnie sunie centkowane, filuterne prawie, zwarte karno płaszczyk ciernistych. Śpiczaste trójkąty wyciągają przed siebie, rozplaszczone, plackowate, pokraczne, a esyfloresami ogonów piszą dziwadła historyj morskich. Nikt tych dziwadeł nie ciekaw.

Łódź też. Mknie ostro i tak samo ostro, nożem lśniącej piersi rozcina karno płaszczyk ciernistych.

Zostają tylko strzępki w szklistej toni, podarte ułamki szarawe, bez znaczenia, bagrowanie niepotrzebne, opadające coraz niżej i niżej, aż do ostatnich szlamów na dnie.

Któżby przypuścił, że i te szlamy na dnie Oceanów przysłużą się Tobie, moja Ojczyzno?

sznym złomie marmuru różowego i kamiennem okiem patrzy ironicznie w glob ziemski, pośród ruin zdeptany.

Śpijcie, sprawcy odrodzenia mojej Ojczyzny¹⁾.

Wąż będzie czuwał.

¹⁾ Mam na myśli, oczywiście, jeno dzieła sztuki jako takie.

21. *Niech śpi spokojnie w połamaniu sitowia gniazdo trzciniaka : cud ptasiego ducha, śpiesznym mozołem płodnej rozkoszy utkany i zagrzebana w jego zniszczeniu samiczka z pisklętami.*

Wróciła niedawno z dalekich, spokojnych krain słonecznych, niedawno wykłuły się drobiny z upstrzonych, brudnobiałych jaj.

Tyle miała czasu w chwili ostatniej, że rozłożyła szeroko rdzawopstre, macierzyńskie skrzydła i zginęła w słodkiem mniemaniu, iż uchroniła pisklęta od śmierci, siebie samą poświęciwszy.

Śpij, w ułudzie gorzkiej czynu spełnionego.

Spełniłaś, nie wiedząc, czyn inny.

22. *Niech śpi spokojnie mrowisko, na grób
żołnierski rozkopane, na cztery wiatry
rozsiane w głębi boru.*

Pełne jeszcze miała uszy wrzawy obcego miasta, dokąd ją wojna zagnała, dlatego może chodziła w tak nabożnej zadumie po dawno niewidzianym swoim lesie. Jak po kościele.

Cudna nakrywa tego kościoła spoczywała nad jej głową, na wspaniałych zwornikach czubów dębowych, podczas gdy ścianę przecinały ostrołuki powyginanych buków, otwierające widok na daleki, niepotrzebny świat. — Do sarkofagów pomarłych władców leśnych, wiódł szacowny kobierzec, otulający każdy świętokradczy szelest w tłumik dyskretny.

Z prostych jak świece, wyprężonych torsów jaworowych patrzyły jakieś zamierzchłe, surowe twarze. Zapewne święci Patronowie tej świątyni, wznosili fanatyczne, opalone w słońcu, pokurczone ręce ku sklepieniu, Boga wzywając na świadka swego odwiecznego rozpamiętywania.

Cichutko chowierzyły modlitwą białe panienki brzozowe, długie rapcie bladozielonych szat na wiatr lekkomyślnie puszczające — takie dziewczynskie w swoim wdzięku!

Na lśniącym postumencie płasko się rozkładających paproci, ponure kolumny jodeł, u nasady ciemne jak noc, rozświetlały się u góry pobladałą korą, glorią intensywną, tak że wyglądały w dzień najchmurniejszy, niby słońcem u szczytu oblane. Podobne były grzesznej, rozpacznej modlitwie, która, poczęta w mroku i zwątpieniu, kończy się hymnem zachwytu.

Wężowe bicze młodych, arystokratycznych jeńców, naganiały je trzpiotowato: młódź rycerska, pełna zuchwałości i pustoty, pobłażliwie pilnowana przez stare graby, o głębokich zadumanych szkarpach i rozdarciach w sędziwym cielsku. Adamasne, dobrzemienne pany!

Pośród kadzielniczego, pieprznego, rdestowego zapachu, wybijały się inne czasami, samodzielne wonie i smaki, które łowiła łakomemi ustami, roznosiąc na wyczulonym podniebieniu: słodki podmuch barci miodowych, mdły i lepki aromat anemonów, stęchły posmak na leśnych czubałkach, gdzie się ścieliły wielkie talerze grzybów, a nade wszystko orzeźwiający tchnienie poziomek — pogubione w świątyni koralowe ziarnka różańców.

Jakież to duchniczki świątobliwe przebierały owe ziarnka i kiedy, wyciskając z nich nabożny sok zdrowasiek? Gdzie się łańcuszki nieodzowne zapodziały, spajające ongiś te ziarnka w jeden naniżany sznur?

Oto leży tam jeden, jak wąż na zielonej wodzie, w srebrze cały wyrobiony — pewnie ten — klamerka zagubionych po całym kościele koralu.

A wzdłuż i wszerek kościoła tyle ścieżek udeptanych, tyle nacehtanych śladów stópek malut-

kich, ledwie się żłobiących w miękkiej podściółce czerwotoczyny.

Chyba zwidy chodziły, duchy, krasnoludki, bo żadno stworzenie inne nie mogło stąpać tak lekko.

Organy były też w tym kościele.

Hukały czasem impetem nahałnym: wilgotny podmuch bił z puszczalek o niewzruszoną ścianę boru, jak ton jedyny, sprzeciw brutalny, bluźnierstwo niepoczytalne, obraza Wiekuistego — — — to daleka rzeka górską zmywała barwę z aromatów, widzeń i smaków leśnych.

Niby wielką, ryżową szczotką przeciągał stary kolos-zakrystjan po listowiu, wycierając dokładnie całą ziemską treść życia leśnego. Po takiej burzy, po takim zawołaniu, po takim wichrze od rzeki, stawał się las jakiś zaziemski, nierzeczywisty.

Mnogonurna rzeka panowała niepodzielnie wtedy. Szumiała, parskała, wtórowała wichrom, zielona i zła.

Skały gipsowe, śnieżne koronki na przyszwie boru, czy też raczej bestje obleśne, wyszczerzały kły ku szumiącemu sierpowi rzecznemu, podobne do owych straszyleń średniowiecznych, które ręką człowieka rzeźbiła pamięć o Grzechu. — Pamięć, wartująca nawet na gzymsach kaplic najświętszych.....

Jak nagle się czyniła wrzawa, tak nagle spadała od czasu do czasu cisza i wtedy wypływał znowu zpowrotem, cieką fistułą, poćwierk wróbli karnawałowy, kluskanie dzięciołów, świerkanie jerów i w szuwarach rzecznych dalekie chybotanie metalicznych kaczorów — nieszpór codzienny.

Kraski w nadobnej zbroi latały, niby oderwane od poświęconych drążków, bogato wyszywane, drobniotkie chorągwie. Zaczerwienił się brzuszek gila, zawieszony na gałęzi, niby malutkie, rubinowe serduszko, jagnusek bezcenny, ex-voto książęce przed niewiadomego Świętego szczodrobliwością.

Wypałubił czasem na nią ryś, może ostatni ze swego gatunku, iskrzące oczy: dwa okienka na jadowicie zieloną przepaść — — pewnie szatan, czyhający we wnękach samej cnoty, puszystej i ciepłej, na dusze zbłąkane....

Jakby w zaświecie zaś, daleko, szyla się nitym obrąbkiem modrzewiowa cerkiewka, Przemienieniu Pańskiemu poświęcona zdawiendawna, ocalała wśród wojny, rozczapierzona na wzgórkach nad bezsiłą jej tylko znanych piskląt.

A jeszcze dalej, także przez wojnę nietknięty — zasobny dwór, czworograniasty, siwy, swój i kochany.

Chmura białych gołębi latała wciąż dookoła tego dworu, takim opętanym tumultem, że czyniła jego kontury wprost jakby ruchomymi. Co chwila nikił pod powłoką pierzastego gradu jakiś wybitny szczegół.

Święta Anna starodawna, Samotrzecia, odganiała się pośrodku dziedzińca od tej chmury, bezskutecznie. — Co chwila wyłaniała się z zadymki śnieżnej jej groźna, baniasta korona, lub ręka, zagarniająca sztywną panienkę, obok niej uciosaną. Czasem wynurzała się nieproporcjonalna głowa patriarchy Joachima, z brodą tak roztarganą, jakby wszystkie wichry lądowe i morskie dmuchały nieprzerwanie w jej kosmyki, jakby wszystkie kata-

klizmy przebytej wojny w nią specjalnie celowały. I znowu wszystko nikło pod pokojową napastliwością ptaków, wtedy tylko sterczał w podwórzu wielki, zlekka ruchomy, chocholaty szczyt: ta właśnie osrężała mogiłka, a na niej niewielki krzyżyk, ozdoba baniastej korony.

— Nie wdzięczniejszeż to od człowieka, z którego soki pije? — mówiła do przyjaciela, zatrzymując się nad świeżym, wojennym grobem samotnym i kładąc rękę na kosmatej łodydze smagliczki. Z czego wyrosła ta smagliczka? Z jego zapomnianego, żołnierskiego serca wdziękiem? a może z jego płuc ostatniem westchnieniem tchórzliwem? może z jego jelit pustych fetorem? może pianą z jego bezpotrzebnego mózgu? może zaklęciem z jego dwojga rąk, złożonych przymusem, czy potrzebą przedśmiertnej, zdesperowanej modlitwy? Powiedz, przyjacielu — a może tylko śniedzią z jego bezużytecznego, rycerskiego oręża?

Rozgarniała cienkimi, rasowemi palcami czuprynkę kwiatu płową, jakby szukała w niej tajemnic poczęcia i bytu.

Poprzez murawę, igliwie i ziemię, poprzez elastyczną warstwę czerwotoczyny, widziała doskonale ów podgłębny świat: zgnilca, w którym tonął korzeń tej radośnej, płowej drobinki.

Robactwo gmerało wzdłuż gnijących ochłapów, odpoczywało na oczyszczonych już, goleniowych kościach, a o mundur żołnierski, niewzruszony, o ten niezardzewiony miecz rycerski, biło taranem niestrudzonych, smrodliwych łebków i toczyło przebrzmiałe istnienie ludzkie wolno, niezmordowanie, nieustępliwie i — niezawodnie.

Zaś właśnie wprost z tej okropności i unicestwienia, wyrastał zielony, kosmaty płomyk, biegnący wzwyż klinem, wskrósł murawy, mchu i igliwia, ku słońcu: malutką, radośną, płową drobinką.

Jeśli istniała mowa kwiatów — jakież wyraz najtkliwszy chciał ten żołnierz nieznaną przesłać żyjącym? jaką rzucić skargę? jaki pocałunek złożyć najwierniejszy na odbiegłych ustach, na skosztowanych już raz, kochanych ustach?

Tyle kiełkowało radości i tkliwości na owej garstce zlekceważonego smutku!

— Patrz, drogi! ile taka ledwoznacznica kruszyna ma siłę przeciw złości człowieka. Przetapia w sobie jad na miód najśłodszy, jego wozgrzywność na radość i woń. Naprawia świat ta drobina, bo kiedy po raz wtóry rozkładać się przyjdzie człowiekowi w niej, później, czasu śmierci kwiatów leśnych — rozkładać się już będzie nie gnojem i fetorem, lecz miłym, smutnym, usypiającym zapachem zeschniętej rośliny. Któżby pomyślał, że takie nic jest wybawieniem i oczyszczeniem? że takie nic poprawia błędy i pomyłki bogów?

Czy myślisz, przyjacielu, że człowiek istotnie zabija? Może tylko daje początek jakiejś pogrobnej roślinie, tak wdzięcznej jak ta i równie ważnej jak człowiek? Może wszystko służy życiu i niczemu więcej, nawet śmierć, bo czy chcesz czy nie chcesz, to każdy oddech twój, każdy krok zabija jakieś istnienie, prawdopodobnie równie wartościowe jak twojejak myślisz?

— Jak myślę? Myślę, że zniechęca cokolwiek do życia pewnik, iż ono na grzędzawisku śmierci stoi, uśmiechnięte niewinnie.

— Dlaczego, drogi? Bierzmy je, jakie jest: piękne ponad wszystko, jak szyba, na której krwawy mróz pisze gwiazdy i kwiaty. Pamiętasz, jakśmy ratowali czarownicę Małankę z rąk doraźnego chłopskiego sądu? Taka była już obdarta, ocądrana błotem i krwią, a kiedy jej ostatni strzęp sukni zdarli — pamiętasz jaka cudna stanęła nad rzeką? Tętniała cała rozkoszą gniewu i lęku. Pamiętasz przyjacielu? Otóż takim samym jest życie.

— Cóż z tego? *Nie uratowaliśmy Małanki.*

— Myśmy wszyscy mordercy, przyjacielu...

Nachyleni nad zapomnianym grobem, dostrzegli mnóstwo maleńkich, czarnych kropek, rozspanych gęsto po igliwiu i murawie. Zeschnięte, mikroskopijne, czarne kropki.

— Widzisz, droga? Rozkopano tu mrowisko wtedy, kiedy tego żołnierza oddawano ziemi. — Patrz, ile zabitych mrówek, wgniecionych butami i rydlami. Tak wygląda, jakby przetrzęsiono coś znacznego przez sito i oto z tej wielkości przesianej, malutkie otręby. Niezabawneż to, kochanie, że z rzeczy tak olbrzymiej, tak okrutnej i straszliwej, jak wojna, zostają tak malutkie paździerze?

23. *Niech śpi spokojnie kamień przydrożny, pamiętający nie takie wojny, którego zgruchotał belgijski tank.*

Leżałeś kamieniu, kamieniem, w sadzie, między dziką czereśnią, a strzelistą gruszą, piękną jak marzenie, która jednakże nigdy owoców dać nie chciała. Była jak dzieło sztuki najczystsze, które się nie mnoży, które jest jedno.

Głupcy, owszem, się mnożą.

(Wojna przeorała wściekłym pługiem ludzkość, mimo to głupców dalej coniemiarą...)

Leżałeś, kamieniu, kamieniem, w sadzie. Popod ścianę twoją szło mrówcze exodus. Dniami, miesiącami, latami, szły te mrówki, z wieczności we wieczność, ciągłym nieprzerwanym sznurem szklanych paciorków. Nieraz wstawałam w nocy dzieckiem i w długiej koszuli, z latarką w ręku, biegłam spojrzeć, czy one i w nocy pielgrzymują, ale czujne ucho mojej guwernantki zawsze moje bosc kroki dosłyszało i oburzony dyszkant napędział zpowrotem do łóżka: „*Vous êtes folle, Marie ?!*”

Nie rozwiązałam nigdy tajemnicy.

Za dnia białego jednak, wszystkie wypadki mego dzieciństwa o ciebie się oparły. Ręka moja, która cię gładziła przed laty, rosła powoli z matłkiej, pulchnej, w suchą dojrzałą dłoń. Za jakich lat milion, czy dziesięć milionów, byłby przyszedł mędrzec i dopatrywał ślady na twojej powłoce.

Między zwiewnym profilem zwierzokrzewów, między kolczastym zygzakiem narecznic, skrzypów i widłaków, między skrzydłem pterodaktylusa, podobnym uderzeniu pioruna, między zwartemi kręgamii skorpiona, między majaczną szczęką gigantozaura, a pazurem niewiadomego wilkołaka, na tobie wyrytych — dojrzałby on zabawny ślad matłkiej dłoni pięciopalczastej.

Byłby mędrzec obwieścił ziomkom, że w epoce takiej a takiej była epoka mikrusów: małe człowieczki o kruchych, skarłatych rączkach pięciopalczastych, podobnych liściom zimowitu.

Ziomkowie byliby się ucieszyli — tak mało im potrzeba do uciechy! i zmartwiliby się zapewne — tak mało im potrzeba do zmartwienia! — że twarz mikrusa nie została przekazana tobie, kamieniu, niby chuście weronikowej...

ale, niczego już nikt tobie nie przekaże!

Z grzmiotem i hukiem, wśród przerażającego wstrząsu, wpadł na ciebie potwór dyluwialny — straszniejszy od wszystkich trybolitów i skorpionów — pełzający w piekielnym zgrzycie, jaszczur niepojęty, warczący głucho i w drobny pył cię zniekształcił. Śladu nie zostało z ciebie, z wielkich dziejów ludzkości, na tobie spisanych i z równie śmiesznych dziejów moich.

Poszły w niepamięć wojny, któreś zanotował,
rodzaje, które na tobie wryły swój profil, smutki
moje dziecięce, któreś zamieścił wśród twoich kart
twardych, a łaskawych — — —

przepadło wszystko! przepadłeś ty! aby być
fundamentem innej sprawie.

24. *Niechaj śpi spokojnie stary szpinet palisandrowy : misterne puzdro na duszę Lullych, wtłoczony brutalnie we wejście do bessarabskich szańców, siateczką strun swoich łęklwych pokryty, jak koń szlachetny siateczką żył.*

Nie wygrał na tym szpinecie nikt piosnek o mojej Ojczyźnie, a niszczał on dla Niej.

Gdzież są te liście akacji i kasztanów, których warstwa głęboka pokrywała ścieżki naszego ogrodu roku zeszłego ?

Wiesz, że wszędzie ich pełno.

Trzewiki nasze naniósł je, spylone, sproszkowane, zmielone, do mieszkania. Żyjemy wśród nich (nie ścierajmy kurzów w naszych mieszkaniach!!!) Są na podłodze, na dywanach, na meblach, na ścianach. Reszta zaś jest tam, za drzwiami, po wszystkich kątach świata i po skończeniu świata.

Z nami obcujące liście z drzew.

Światów obcowanie.

My także jak drzewa, jesteśmy wieczni.

Od pierwszego wejrzenia, jakim witamy życie, zaczynamy się rozpadać na wiekuiste szczątki.

Wejrzeniem, dotykiem, rozpadamy się wolno na miliardy atomów, które są nami, które żyją

naszem niezniszczalnym życiem, w przedmiotach, w murach, krajobrazach przez nas widzianych.

Oto światów obcowanie.

Stąd, kiedy po latach spotykamy przedmiot dawniej posiadany, kąt dawniej zamieszkały przez nas, krajobraz oglądany, choćby z okien wagonu — drży coś w nas wzruszeniem.

Spotykamy wszakże samych siebie.

I tak idąc przez to życie, które zdaje się krótkim, przez tę jedną minimalną fazę bytowania, gubimy się, rozpadamy, rozpylamy wokół, impregnując tysiące przedmiotów sobą. Aż przychodzi domniemany kres. Wtedy tę resztę, która się nigdy nie wyniszcza, niesiemy w bytowanie następne. Rzeczą zaś naszej jaźni jest, czy rozłamując się na bezmiar zjawisk posiadanych, dotykanych, widzianych, nie rozpadnie się ona zbyt totalnie. — Wtedy: starość tak zwana przedwczesna, marazm, impotencja duchowa i cielesna.

Świat jest zaludniony bardziej niż sądzimy. Pełno tysięcznych pokoleń wokół. — Zrywają się kłótnie rodzinne, swary polityczne, burze religijne, wojny światowe — ludzie szukają przyczyn nadaremno, nadaremno ciskają sobie w twarz grzech inicjatywy. Nic nie tłumaczy podłoża tych drobnych, czy żywiołowych walk. Zarodki przyczyn, szukane w nas samych, tkwią najczęściej poza nami — jeśli cokolwiek egzystuje poza nami, co nami nie jest.

Dawne jakieś rankory wybuchają wśród tych bezmierzy istnień, pozostałych po bezmierzu istnień innych. Śmieszne się wyda, gdy powiem, że przyczyną wojny światowej mógł być gozcinacz, poło-

żony nagle na zapomnianym stoliku. Ktoś, kiedyś, dotknął tego nożyka — ktoś inny, kiedyś, dotknął tego stołu — dwie jaźnie zetknęły się z naszą, tą trzecią, i dziesiątą, setną, wibrującą wokół — — burza w szklance wody ?

Nie.

To *obcowanie światów*.

Śmiesznie małe i niedopojęcia olbrzymie obcowanie światów !

Tłumaczyć tem można potęgę relikwii, potęgę przedmiotów, dotykanych ręką świątobliwego. Tem tłumaczyć można jad niektórych amuletów, zabójcze działanie niektórych drobiazgów : we wszystkim tkwi jaźń dobra czy zła.

Wierzę w Świętych obcowanie, w światów obcowanie.

Wierzę, że obcować będę z Tobą, za mirjady lat, lecz nie wiem za jakim pośrednictwem. Czy książki dwie zejdą się na półce bibliotecznej, które mieliśmy w ręku ty i ja, nie wiedząc o sobie, na dwóch krańcach świata ?

Nie wiem, nie wiem.

Pełno nas wszędzie i coraz mniej z nas samych w nas samych. Coraz mniej, aż przyjdzie domniemany kres, po którym w innym astralu będziemy się na mirjady cząstek rozpadać i sypać płatki jaźni naszej pod koła pędzącej Wieczności, aby wieczysty brać udział w światów obcowaniu.

II.

Miłość Ojczyzny ?

Też się tem ona tłumaczy : teorią obcowania światów.

Urodzony na obczyźnie, cóż dziwnego, że gdy wraca do własnego kraju, choćby nieznanego, uczuje raptem przypływ sentymentu do tej ziemi i czuje się na niej swój? Wokół są mirjady przedmiotów, krajobrazów, drobiazgów, kości, prochów, których dotknęły kiedyś, czy ręce przyjaznych jemu, spokrewnionych jemu ongiś istnień.

A powody nagłych „nawróceń“ na wyznania religijne rozmaite, z gruntu nawet obce?

Głośne są legendy o nawróceniach za pośrednictwem krzyża, medaljonika, relikwji, obrazka... Zaciekły żyd Marja Alfons Ratisbonne staje się nagle, gwałtownie, katolikiem w kościele św. Andrzeja della Frate w Rzymie. Przyszedł na pogrzeb przyjaciela i, jak sam powiada „nie mógłby wytłumaczyć jakim sposobem przeszedł z prawej strony kaplicy do kaplicy lewej i jak się znalazł raptem kornie na klęczkach przed tą kaplicą...”

Kto i kiedy modlił się przed tym samym ołtarzem i zostawił tam siebie, aby w światów obcowaniu nauczyć swojej fanatycznej wiary Ratisbona?

Śmiesznie małe i niedopojęcia olbrzymie światów obcowanie....

III.

Taki nasiąkły niewiadomą jaźnią, delikatny, kruchy, prześliczny w linji szpinet zaciągnięto w okopy. Poco? Struny powyrywane otoczyły go jak rozpuszczone, złote, rzadkie włosy płaczki. Klawisze poobijane, potrzaskane, pożółkłe, nie pozwalały nawet przypuścić, że plątały się kiedyś po nich piękne, smukłe palce kobiece, upierścienione, ukryte do pół w koronkach, że mogły z pod

tych żalonych pałeczek płynąć frywolne gawoty,
 menuety dworskie i melancholijne, tęskne elegje.
 Teraz huczą o gładziznę jego wykwinnych ścia-
 nek ordynarne przekleństwa, dzwonią o wylękle
 struny koszarowe dowcipy, a menażki i karabiny
 rozkładają się po wyblakłym puzderku, gdzie za-
 czarowane mieszkały dusze Lullych — — —

Czy to je boli, owe dusze Lullych — — ?

Tworzywo powstaje wszakże nowe na szcząt-
 kach najkruchszych — — —

Może nikt nie grał na szpincie tym piosnek
 moich ojczystych, a mimo to wszystko zniszczał
 on dla mojej Ojczyzny.

25. *Niechaj śpi spokojnie sekretarzyk z czeczotkowego drzewa, który wzięto na głębokiej Litwie na szaflik dla menaży....*

Mera wiła się tak tanecznie pośród posepnego majestatu lasów, że stawała się wprost anachronizmem. Obelżywą była jej radość i swawola.

Płowogrzywiaste drzewa tamowały jej kruchy bieg gniewną ramą naprężonych muszkułów, z pod ziemi wysoko sterczących i czyniły wszystko, co możliwe, aby zaćmić jej przezystą jasność, jej rozhuśtaną dziewczynską niefrasobliwość. Fioletowymi dyscyplinami swych cieniów ją biczowały, złościły ją rysami odłamanych konarów, ciskały w nią gałęziami, szyszkami, garściami mchu i liści, ale ona wygładzała zawsze swoją powierzchnię, niezłomnie jasna, rozkoszna i pełna czaru młodości.

W wążutkiem swoim korycie niosła oceany uśmiechu.

I tak biegła swoim zawilejskim powiatem, drobiła, klaskała, szemrzyła. Siała ułudę baśni pełnemi garściami, o niebywałem szczęściu tejże krainy, o błogości dziejów. Tymczasem dzieje te były zgoła inne, nie błogie, nie szczęsne. Złym była

wykładnikiem przeżyć i dlatego burzyło się na nią wszystko, co przecinała srebrzystym nożem swojej radości.

Wokół, prócz lasów łabonarskich, daugieliskich, cerkliskich, korkorzyńskich — lasów chmury nieprzeliczonej — były też nieprzeliczone jeziora. W promieniu najbliższym stały nieruchome, chmurne, stalowe płachty Narocza, Świru, Szwakszta, bieleły się bierwiona wsi ukrytych, o nazwach dziwacznych: jakieś Bojatyszki, Burbiszki, Podszerańcze, Zułowy, Guże, a na zakończenie, w samej dali najdalszej, kuła w niebo jak dzięcioł, wieża drewnianego, świętokaźmierskiego kościoła w Sorokpolu.

Pisano już wiele ksiąg o tem, co jeziora te i lasy widziały, ile mogił drzemało w mchu i paździerzach sosnowych, ile się stryków przewinęło po stuletnich gałęziach, ile jęku dzwoniło jeszcze i hukało po polanach.

Ukrył to także i zachował niejedyn dwór morderzewiowy, typowy, staropolski. Błąkały się tam wciąż echa rozpaczy nigdy niewypłakanej, do wigilji zatrzymywano zawsze jedno miejsce puste, z opłatkami położonemi na krzyż na herbowym talerzu. Meble, przycichłe, milczące — różowawe ze starości, jeśli były z mahoniu — czarne jak węgiel, jeśli były z palisandru — prawie wiśniowe, jeśli były z bukszpanu — ciemnozłote, brzoskwiniowe, jeśli z czeczotkowego drzewa — podierały sędziwe ściany zadumanym szeregiem.

Stoły, przy których jadano dawniej, zapelniając je doszczętnie rękami, łokciami, talerzami, stały dziś niby martwe, krągłe, błyszczące jeziora

i choćby niewiedzieć ile mis, ile sztuków na nie rzucić, były ciągle puste. Centkowanymi kobiercykami nakryte kanapy, wyglądały jak jakiś opuszczony na długo, na zawsze brzeg. W pokojach sypialnych stały łóżka, niby ciężkie kłoce, rozłupane gromem. Cis, w którym były rzezane, nie wydawał się już cisem, jeno zwyczajnem drzewem, obdartem poprostu z kory. Ciemne dywany nad łóżkami omroczały je w jeszcze głębsze zapomnienie. Wogóle dwory tam składały się pozornie z tysiąca rzeczy śmiesznie bezpotrzebnych i ta bezpotrzebność przedmiotów codziennych, ustawicznie widzianych, nękała do absurdu. Sprzęty, otoczone wokół wodą nietykalnych posadzek, tarcicami postawionych, po których bezdni człowiek stąpać się boi, jakby odcięty martwą, szklącą płaszczyzną od świata, podglądają wśród ciszy i tykających nierówno zegarów, to zapadanie się rzeczy w mrok bezużyteczności. Nie były to skoki nagłe. Owszem, te rzeczy długo, długo żyły, bezochybnie niezbezdne, powoli jednak zaczęły przepadać dla oczu, wsiakać w tło i podstawę. Bezradna myśl pytała nieraz w ocknieniu: do czego one służyły? i śledziła w ciemnościach ów korowód umierających przedmiotów, dążących chyłkiem w obręb jej nieznaną.

Poza cmentarzem, gdzie się składa strojne truchła ludzkie — poza okopiskami, gdzie niewdzięczny człowiek rzuca ciała zwierząt, które mu w trudzie służyły wiernie — musi być jeszcze inne cerkwiszcze: rozległe, tajne, odgródzone ściśle, w którym się kładą trumienki naszych bawidełek, koników drewnianych z lat dzieciństwa, kukiełek,

lalek, wstążczyn i innych drogich sercu cudeńków... Bo gdzież się to podziewa, pieszczone i chuchane? jakież wiatr śmiałby roznieść te strzępki naszych jestestw? Jakżeby się liścił tak bez celu nasz las młody!? Gdzież naprzykład się podziała moja prześliczna lalka z francuskiej terrakoty, z oczami jak orzeszki laskowe i włosami koloru piernika, której trzech paluszków brakowało u lewej ręki? gdzież moja skarbonka drewniana, bezcenna, wyobrażająca tłusciutką świnkę, do której nigdybym się nie była odważyła wrzucić grosza? gdzież moja lokomotywa furcząca, z zielonej blachy, uciecha nadziejska?...

Niema. Były, a niema. Gdzie są — —?

Czy rozmyślałeś kiedy, w głębokiej samotności, nad sprzętami nas otaczającymi? Czyś zauważył pieszczotliwość niektórych tak zwanych „martwych“ przedmiotów, podsuwających się tkliwie naszym palcom? Czy obserwowałeś kiedy tychże przedmiotów złośliwość i upór? Parasol naprzykład, chowający się wprost w naszych oczach za szafę, wtedy kiedy po niego śpiesznie sięgamy? nóż który nagle krajać nie chce? ołówek automatyczny, którego sztyfcik cofa się bez powodu, gdy go użyć chcemy? Słyszałeś kiedy jak chrypie fortepian „w oczach“, jak się staje twardy i zły? jak huczy w dwójnasób pedał?

Taki gwar, taki rozgardjasz jest w życiu naszym najcodzienniejszym, że przechodzimy mimo tych tajemnic, że dopiero słabowanie dłuższe, lub ciężka żałoba, skłania nas do skupienia, do zatrzymania wiecznie roztargnionego wzroku na najbliższych nam, tak zwanych martwych sąsiadach.

Jesteśmy tedy wprost olśnieni ich utajonym życiem, ich zdolnością wchłaniania naszych najsubtelniejszych pomysłów i wypromieniowywania naszych zalet i wad. Jakże wybitnie się odznacza pokój, w którym najczęściej mieszkańcy domu przebywają — jakże to łatwo odgadnąć, bezpośrednio z fizjonomji przedmiotów, tej zgoła odmiennej, zdeterminowanej towarzyskiej, pełnej wieści, kronik, nowin, plotek, uśmiechów, urągliwości i pobłażania. Nieomylnie się trafia do takiego pokoju. Dywany, stołki, trymutki prawią ci rzeczy niestworzone, chociaż nigdy sprzeczne. Tak zwane martwe przedmioty kłócą się tylko z człowiekiem, nigdy między sobą i ta przedziwna harmonja działa niezwykle na człowieka chorego naprzykład, czy opuszczonego, jeżeli się jej poddać potrafi i zechce. Tylko, że człowiek ciągle się przy pysznej tezie upiera, że on ma duszę, a wszystko wokół jest bezduszne....

Nieprawdą jest nawet, że przedmioty piękne kłócą się z brzydkimi. Nie! Toć ta brzydota, czy piękno, to tylko zewnętrzna ich twarz, nie stanowiąca o treści. Dusza może być inna od twarzy, jak u człowieka.

Ileż by się pisać dało o tym łączniku między światem tak zwanych martwych przedmiotów, a światem człowieka smutnego i opuszczonego, również ile by się dało wyciągnąć wniosków z tego maltretowania przedmiotów martwych przez ludzi! Czy nie przysłoby z łatwością zatrzeć naprzykład demarkacyjną linię między niszczeniem sprzętów, które nas otaczają, a w których musimy uznać utajone życie, równie ważne, równie czułe, równie

drogocenne jak życie człowieka — a zniszczeniem tegoż człowieka? Czy można zatracić zrozumienie różnicy między mordem tak zwanego martwego przedmiotu, a mordem istoty żyjącej? Człowiek wszakże ciągle coś depcze i morduje.

Jeśli się nad tym faktem głębiej zastanowimy, to możemy dojść do konkluzji, że każde morderstwo jest jednakie, mianowicie: żadne. Wszystko w pobok nas jest kołem, a w pośrodku koła: jedna rubinowa, krwią ociekająca oś¹⁾.

Tylko bardzo stare mieszkania ludzkie, w których bardzo szacowne, bardzo skupione, bardzo intensywne prowadzono żywota, nasuwają takie myśli, dlatego na kresach, na Litwie tyle myśli nasuwają dwory. Każdy wywodzi się tam od litewskich władców, od Ginetów, od samego Perkuna. Każdy kryje tajemnicę wieloraką przeżyć chwalebnych i rozpacznych. Tam nie bywają dwory „ni-jakie“, zwyczajne, hreczkosiejskie, bez pamiątek, legend i zabytków.

We dworach poznańskich naprzykład, jedynym zabytkiem „sztuki“ naogół, jest nieodzowna głowa końska nad stajnią końską, wola nad wołownią, owcza nad owczarnią i świńska nad chlewnią. Tak jakby tam spać nie dawała ludziom myśl, że fornale zapędzą świnię do cugowej, a owce, nie daj Boże, do wołowni, poczem by niezawodnie nastąpił koniec świata²⁾.

¹⁾ Fragmenty z niedokończzonej mojej powieści p. t.: Rubinowa oś.

²⁾ Mówię o przeciętnym dworze wielkopolskim, bo wiadomo, że i tu są tu i ówdzie dwory piękne architekturą i urządzeniem.

Tylko nad samym dworem, żadnego szczególnego znaku, żadnego piętna żalu, przypomnień, wspomnień...

Na głębokiej Litwie, nad Merą właśnie, szleszczący ogród i taki właśnie dwór modrzewiowy, pełen pamiątek, bezbronny i zapamiętały w przeszłości.

Pokoje są zasnutę pajęczyną dawności, meble tworzą plamy nierealne na staroświeczczyźnie tapet i na pięknych, lśniących zawsze parkietach. (Wchodząc, cofasz przed nimi mimowoli nogę, jakbyś miał wstąpić w wodę najgłębszą....)

W rogu, na tle tyftykowego, buraczkowego trójkątu, stoi sekretarzyk z tysiącem szufladek i schowków, z wypukłą nakrywą do podnoszenia i zasuwania.

Siadywała przy nim tyle lat „*pani Marja*” i czytała chłopcom swoim to wszystko, czego czytać podówczas nie było wolno. Albo opowiadała głucho o panu Sierakowskim, o księdzu Mackiewiczu, o panu Romualdzie, albo z odrazą wymawiała imię Murawiewa-Wieszatiela.

Dzieci słuchały, łykały, pochłaniały owe obrazy, malowane ustami najdroższymi na świecie. Zapamiętały je nazawsze, wzdłuż wszystkich kolei własnych i narodu.

W głębi czeczotkowego sekretarzyka kryło się gorzkie cudo księżczyń zakazanych, drobnych foliów, listków ulotnych, włosów uciętych na wieczną pamiątkę — jednym słowem to, co twardo replikowało na zarzut zaborcy: „*russskich chleb žriotie, a po russki gawarit nie chatitie...*”

Nie chcieli po rusku.

Chcieli, myśleli, marzyli, działali „po polsku“, całe życie po polsku, ciągle jeno tak, jak ich „*pani Marja*“ uczyła przy swoim czeczotkowatym sekretarzyku.

Później, znacznie później, kiedy się ziściły wszystkie marzenia „*pani Marji*“, choć sama dawno spoczywała w grobie, mawiali jej synowie :

— *Gdy jestem w rozterce ze sobą, gdy wszyscy są przeciwko mnie, gdy wokoło podnosi się burza oburzenia i zarzutów, gdy okoliczności nawet są pozornie wrogie moim zamiarom — wtedy pytam samego siebie, jakby matka kazała mi w tym wypadku postąpić i czynię to, co uważam za jej prawdopodobne zdanie, za jej wolę, już nie oglądając się na nic...*¹⁾

Ów sekretarzyk, wyedukowawszy wiele pokoleń, przechodził jak one koleje różne, aż w dni nowej wojny, innej, nietajnej już, nie leśnej, nie ubogiej i zdławionej — zawędrował do żołnierskiej menaży. Obce żołdaki w pikelhaubach i czapkach bez daszka, porębały gładkie, ciemno-złote drzewo, a z wypukłej nakrywy, lśniącej jak atlas, obróconej na wspak, dawały żreć gotowane kartofle świniom, umiejętnie tuczonym. Bardzo prędko utuczyły się świnię i pan Hauptman był bardzo kontent.

O, sekretarzyku brzezinowy, czeczotkowy...

¹⁾ Pisze : Wacław Sieroszewski „*Józef Piłsudski*“.

26. Niech spoczywa pęk boule de neige'ów,
przeźroczysty jak ampla, rzucony z ko-
nia niedbale i obrócony na miotłę
w obozie.

Czcigodny i łaskawy Panie Pułkowniku!

*A cóż my, nieroby, a częstokroć popsuje, innego
dać Wam możemy, jak płomienną garść uwielbienia?!*

*To jest chyba najmniejsze co ofiarować możemy,
my, serca czułe, a leniwe. Najniklejsza to przeciw-
waga Waszych cudnych działań, no i jadowitej na-
napaści, którą Was nieraz inni karmią.*

*Zresztą tak nasze uwielbienie, jak jadowitość
innych, to tylko marnie skrojony płaszczyk bierności,
bezczywności, darmozjadztwa.*

Nic więcej.

*W głębi duszy, tak oni, jak my, wstydzimy się
poprostu, żeście się dawali rwać w strzępy wtedy,
kiedyśmy w słodkim far niente skutków Waszych wy-
sileni czekali.*

*Jedni — może cokolwiek lepsi z gatunku homo
sapiens, pokrywają ten wstyd purpurową płachetką
uniesień i uwielbień, gęstym dymem rozkołysanych
trybularzy — drudzy zaś tarczą, najeżoną kolcami
injektyw i oszczerstw — trzeci szumnym frazesem
o rozwadze, o dyplomacji, o polityce. Ale w gruncie*

rzeczy, jesteście jednacy w wartości, tylko my, uwielbiający cokolwiek nudniejsi od tamtych...

Żeśmy nudniejsi i ciężej strawni niż tamci, wyraźnie powiada list Pański, dziękujący za ów pęk boule de neige'ów, któryśmy Panu „strzemiennym” zwyczajem podali. Otrząsa się Pan z moich powieździeń, jak szlachetny koń, co rzekę wpław musiał przepłynąć. Nie szkodzi. Niech się Pan otrząsa. Nam zaś niech zostanie problematyczne uczucie zadowolenia, żeśmy spełnili obowiązek wobec najczcigodniejszego Gościa — chiński ceremonjał, idący nakazem wprost z serca.

Nie każde serce, Panie Pułkowniku, jest akumulatorem najdonioślejszej sprawy — są też takie choinkowe, na jedną modłę, trochę piernikową, wykrojone, bardzo lukrowane, a kruche.

Niepotrzebnie nam Pan o tem przypomina, Panie Pułkowniku — pamiętamy! pamiętamy!

I łączymy wyrazy głębokiej czci.¹⁾ M.

Pęk boule de neige'ów, w otoce jesiennych, różnobarwnych swoich liści, cwałował wraz z jeźdźcem na koniu, sypiąc białe włókienka i taki prawie rozsypany, wyłysiały, żałośny, znaleziony został przy obozie. Tam się nic nie marnuje. Skrzętnie ręce żołnierskie podniosły pęk, związały go szpagatem u nasady i długi czas zamiatały nim przechody i ścieżyny, śpiewając na całe gardło:

*...maszerują strzelcy, serca ich radośne,
zwiastują Ojczyźnie wyzwolenia wiosnę,*

¹⁾ Ustępy z listu, pisanego swego czasu do pułkownika Sławka.

*gdy skończą z Nykołką, pójdą na Wilhelma,
odbić Wielkopolskę, co ją dławi szelma...¹⁾*

Pęk boule de neige'ów, przucidny poemat białej wiotkości, snu, zjawy, niebytu — stał się sprzętem realnym i poziomym. Pchał przed sobą łupy z ziemniaków, ogarki z papierosów, koński nawóz i pudełka z tytoniu, coprawda tego co najpiękniejsze już na nim nie było.

Kwiat rozplynął się wczas — bo nietylko na krwi budowała się moja Ojczyzna. — Także na kwiatach. Na śmierci kwiatów.

¹⁾ Pieśń tę śpiewała I. Brygada Legionów galicyjskich już w roku 1914 w zimie. Charakteryzuje ona nastroje tych domniemanych „germanofilów“.

27. *Malwy operlone kwiatem niechaj śpią,
które stratował pochód trenów od wscho-
du do zachodu idący.*

Nie przejdą!!!

Gdzieżby przeszli tak ordynarnie, tak nawał-
niczo, przez ów mur jak z bajki? przez te łądyżki
strzeliste, wyprostowane ufnie, całe umajone ko-
kardkami z tęczy!?

Były na nich kwiaty żółte, jak otellowa za-
zdrość, były różowe, jak uśmiech dziewczynki, były
liljowe, jak dłonie matczyne, były białe, jak sama
niewinność, prześliczne, subtelne, ściśnięte kępkami
dookoła stalowej łądygi.

Malwy!

Przez taki mur — — —

mogły się parki widywać kochające, mogły
się dłonie drzące i młode ścisnąć we wzruszeniu,
mogły się przysięgi składać (niekiedy dotrzymane),
mogły się usta nachylać ku sobie, wiśniowe i miłe,
spojrzenia szukać nawzajem, jak gwiazdy — ale
gdzieżby tamta ciżba rozpięta, coraz bliższa i
bliższa, przechodzić chciała przez ów mur, przez
ów granicznik anielski, przez tę fortecę serc i uśmie-
chów? przez rabaty malw?

No i przeszli!!!

Pokotem położyli kolorową bajkę, obalili
 okólnik marzeń, stratowali pęki subtelnych, różo-
 wych i liljowych pocałunków, na zielonej łądydze
 złożone. Ani się obejrzeni na to elastyczne, roman-
 tyczne чудо — — — — —

Tren szedł ze wschodu na zachód, w poście-
 chu i nieładzie i drogi nie wybierał.

28. *Niechaj to śpi.*
Niech oni wszyscy śpią spokojnie od wschodu
do zachodu, braterstwem ludów złączeni,
na lądzie i na morzu.
29. *O czarny żołnierzu obcy !*
o biały hindusie z Singapore !
o kary koniu !
o kamieniu !
o siostrze moja !
o mewo !
30. *Bądź pochwalona Wojno, Pani Łaskawa,*
Pani Cudem Słynąca, Pani Szczodrobliva !
Niechaj się teraz przelewa zbrodnia, gra-
bież, łajdactwo, przekupstwo: dzieci Twoje
niezaprzeczone !
Ty jesteś czysta, ty jesteś piękna, po-
chwały godna, uwielbiona !
31. *Wilczyco płodna, u której wymion zapiły*
się ludy krwią na śmierć, aby nikt nie pa-
trzał, nikt nie przeszkadzał powstaniu mo-
jej Ojczyzny.
32. *O Klibliah ! ściana meczetu, zwrócona na*
zawsze ku Mecce !

*Wieżo Babel, cudem pomieszanych gwar
szumiąca !*

*Barykado fantastyczna, w pogmatwaniu
okrutnem proporców !*

*Kolumno Memnosa, płacząca o świecie
niesamowitem wyciem !*

Wyj ! płacz ! tarzaj się w bolu, rwij szaty !

33. *Wszystko było wszakże niczem, wobec urodzin
mojej Ojczyzny.*

K O N I E C.

Sierosław 7 lutego 1925 roku.

*w dziesiątą rocznicę stracenia
bohaterskiego oficera*

1. Brygady Legjonów :

Stanisława Kaszubskiego-Króla.

*Byłby uszedł śmierci, gdyby się był
w śledztwie nie przyznał,*

że jest poddanym rosyjskim.

*Ale Kaszubski był zdania, że
nie egzystuje wypadek w którymby
polski oficer mógł kłamać.*

*Kiedy go zapytano czy jest
rosyjskim poddanym, odpowiedział*

krótko : tak.

Te trzy zgłoski powiodły go

na szubienicę, w Pilźnie

7 lutego 1915 roku.



A Nr 037143



8485

13 XII

C e n a

zł

8,

gr

DK - 28 d
1.54

Wzór Jednoraz. CWD, W-wa. 15973/K
2041 - Lak - 25.11.53 - 3000 bl. à 100 k.

